

małodzież

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 2 [659]

24 I — 6 II 1988 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

**ZAURALEM,
NAD OBEM
CO WYDARZYŁO SIĘ
W MUZEUM
PIĆ ALBO BYĆ
PRZESTĘPCY W LESIE
SCENY VIDEO**

**MUZA
I PŁUG**

Irena Adamczuk

Na głównej ulicy w Chełmie zapytał o drogę do hotelu „Kamena”. Dwaj przechodnie wskazali kierunek, ale spojrzawszy na postać w walonkach, kufajce, ze sfatygowaną torbą w ręku rzucili: człowieku, „Kamena” to najelegantszy hotel w mieście, tam trzeba mieć wypchaną kieszonkę!

Ale soltys wsi Lubianka, Michał Lipnicki, już się nie oglądał. Na coś by się zdało tłumaczenie, co go tu przyniosło w trzaskający mróz z dalekiego Gorzowskiego? I że tu, w „Kamieniu”, ma pokój zarezerwowany już od dawna przez organizatorów turnieju recytatorskiego „Źródło — 87”. Klub Kultury Chłopskiej, Towarzystwo Kultury Teatralnej i Wojewódzki Dom Kultury w Chełmie. Ledwo zdążył umyć się po podróży, przebrać w strój wyjściowy — a już trzeba było stanąć na estradzie. Recytował swój ulubiony utwór: jak się Wini-
ek swatał.

No i znów sukces.
Do domu wracał z nagrodą specjalną za najlepszą interpretację twórczości ludowej macierzystego regionu i złotą odznaką recytatora.

Dopiero, kiedy przekroczył próg niewielkiego domu z tabliczką „Soltys”, żona odetchnęła. Bo pierwsza protestowała, by nie jechał na drugi koniec kraju w mroźny styczeń 1987. Kto nie musi, nosa z domu nie wychyla. Mróz 20 stopni, drogi zawiane. A tu trzeba najpierw autobusem do Gorzowa, potem pociągami z przesiadkami... Ale gdy zobaczyła piękną dyplom i 10 tysięcy złotych w kopercie, a nade wszystko — przekonała się, że nawet się nie przeziębił, udobruchała się całkowicie.

Michał Lipnicki we wszystkim może żonie ustąpić, tylko nie w kwestii poezji i recytacji. Gdy Wojewódzki Dom Kultury zaprasza do Gorzowa na „Spotkanie z poezją przy kominku”, w Walczu odbywa się turniej poezji „Zwycięstwo”. W Słubicach — Turniej Poetów Miłosnej, czy konkurs recytatorski „Człowiek i przetrwanie” w Białymstoku — soltys Lubianki zawieszają urzędowanie. Gospodarstwo zostawia na głowie żony i syna, a sam gna na spotkanie z żywym, pięknym słowem. I z większości tych spotkań przywozi miłe pamiątki, dyplomy, wyróżnienia, symboliczne nagrody.

Wielką przyjemność sprawiła panu Michałowi przed kilku laty nagroda Ministra Kultury, a już prawdziwą satysfakcją zaproszenie — jako honorowego gościa — na krajowy finał Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Wtedy nawet w telewizji wystąpił. Dumą pana Michała jest piękny medal z Pegazem wręczony w 1984 roku wraz z doroczną nagrodą Gorzowskiego Towarzystwa Kultury.

A z tą nagrodą to było tak. Mieszkająca w Drezdenu wnuczka Monika — wówczas 14-latką — wyczytała w „Gazecie Lubuskiej”, że GTK co roku przyznaje nagrody najbardziej zasłużonym dla kultury regionu i że kandydatury mogą wysuwać nie tylko towarzystwa i instytucje kulturalne, ale i indywidualni obywatele.

— Dziadek zasługuje na taką nagrodę — orzekła. I jak wy nie chcecie — oznajmiła wahającym się rodzicom — to sama napiszę. I napisała.

„Mój dziadek bezustannie szerzy kulturę w swej wsi. Założył i prowadzi punkt biblioteczny w swoim mieszkaniu, wielokrotnie uznawany za najlepszy w województwie. Organizuje głośnie, wieczorne czytanie w gronie mieszkańców. Te i inne działania szerzące kulturę prowadzi tu 40 lat, ale już mając 16 lat działał na Wileńszczyźnie w Kole Młodzieży Wiejskiej, a potem w Kole Młodej Wsi i organizował zespół amatorski. Nawet po kampanii wrześniowej, gdy był ranny, urządził wieczory poświęcone poezji, a po wywiezieniu na przymusowe roboty do Niemiec z narażeniem życia urządził wieczory języka polskiego. Jedyną polską książką w loarze był modlitewnik; na nim dziadek uczył współmieszkańców. Nie znający języka Niemcy sadzili, że jest postorem i tak do końca go nazywali.

W 1946 roku dziadek osiedlił się w Lubiance, a od 1948 roku jest jej soltys. Rozczytał wieś. Na 190 mieszkańców 90-100 to stali czytelnicy. Gdy załatwia jakieś sprawy jako soltys lub opiekun społeczny, zabiera ze sobą książkę na wymianę i wybiera je wiedząc, co kto lubi czytać.

Wiek też jest dumna ze swego soltysa. Po wywiadzie telewizyjnym do babci przybiegła sąsiadka ze łzami w oczach i powiedziała: nasz soltys tak pięknie recytował, że aż się popłakałam!

— Serio wzięto pana za duchownego w Niemczech? — pytam, sadząc się w gościnnym pokoju przy domowej wędzonce z chlebem.

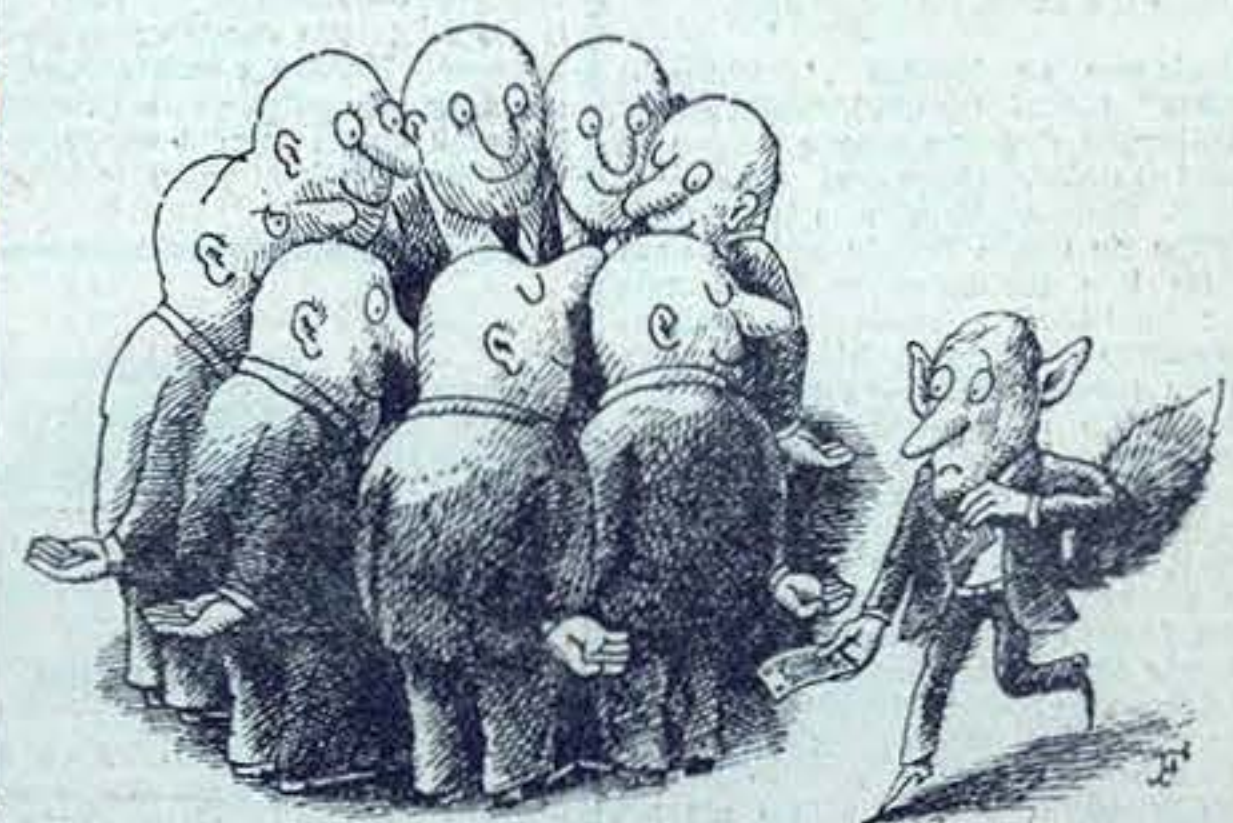
— Spełniałem nawet posługę duchowną, bo mistyfikacje trzeba było podtrzymać. Do pracy na kole prowadzono pod karabinem. Gdyby się wydawało, że uczyć dzieci polskiego — było ich pię-

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Maciej Feriak jako Ubu i Iwona Kotzur w roli Ubicy w sztuce Alfreda Jarry'ego „Ubu król”, wystawianej na zielonogórskiej scenie. (Cyt. omówienie na str. 8).

**Z wystawy
Jerzego Flisaka**

Chodzi lisek wkoło drogich...



W ZIELONOGÓRSKIM
KMPiK



ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

Triumf i dramat

Miewiele jest postaci tak kontrowersyjnych jak Stalin. Jedno wydaje się być oczywiste: bez nich świat byłby inny. Nikt jednak nie wie jaki. Stalin jak wiadomo przez trzydzieści lat był pierwszą osobą Kraju Rad. Jeśli państwo porównać z organizmem człowieka, był jego sercem. Oceniać Stalina to jakby dokonywać operacji na sercu dziejów. Stalinem, jak każda prawdziwa wielkość, dzierżąc w swoich rękach w jakimś czasie losy świata, będąc się interesem pokoleń. A każde pokolenie na swoją miarę i wedle swoich zainteresowań i uwarunkowań w historii szuka czegoś innego. Spór o miejsce Stalina w dziejach nie tylko Związku Radzieckiego jakby dopiero się zaczął. Do udziału w tym sporze przystąpił naukowcy radzieccy. Przebudowa w ZSRR to także, a może przede wszystkim, przebudowa świadomości, a na tę składają się również doświadczenia przeszłości. Skutki kultu Stalina w tych doświadczeniach zajmują całe obszary. Rzadko w historii od jednego człowieka zależało tak wiele, jak od Stalina.

Niedawno na łamach „Literaturnoj Gaziety” filozof Dmitrij Wolkogonow opublikował skróconą wersję wstępu do swojej książki, ukazującej polityczny portret Stalina. Książka z pewnością wkrótce się ukaze. Należy sądzić, że najbliższe lata przyniosą w ZSRR całą serię publikacji o „czwartym klasiku marksizmu”. Apologię, które za życia Stalina pisało o nim, często przy jego udziale, nie mają większych wartości poznawczych. Na życie i dzieło Stalina trzeba spojrzeć od nowa, w świetle dostępnych dokumentów, po odrzuceniu emocji. I wydaje się, że czyni to Dmitrij Wolkogonow. „O poglądach i myślach Stalina — pisał — mówią więc nie tyle jego prace, zapiski i rezolucje, ile dokonania zmierzające do praktycznej społecznej, jego osiągnięcia, czyni i ku naszej gorczy — również zbrodnie”. Zbrodnie, których nikt i nie nie usprawiedliwi.

Przeszłość w którymś momencie trzeba po prostu zakończyć. Rozliczyć się z nią, żeby stała się już tylko historią. Inaczej tkwić będzie w żywym ciele narodu jak wielka, niezagojona rana. Profesor Wolkogonow, którego ojciec zginął jak setki tysięcy innych bez powodu represjonowanych, i nie wiadomo nawet gdzie znajdują się jego prochy, pisze o „fenomenie czasu, na który nie ma wiarygodnej i pełnej odpowiedzi”. Już z tego wynika, że książka będzie pełna pytań bez odpowiedzi, gdy wielu decyzji Stalina po prostu nie można zrozumieć. Wymykają się one jakiegokolwiek logice.

Profesor zauważa, że każdy wiek ma swoje „średniowiecze”. Sądzę, że pod tym pojęciem rozumie nie tylko szczyty „Średniowiecza”, a także przeciętne byty, ale także jego nizinę i dół. W tym sensie lata krwawego terroru Stalina to „średniowiecze socjalizmu”, który to od dwudziestu lat zwycięska Rewolucja Październikowa po rozprawieniu się z faktycznymi wrogami zaczęła pożerać przy aprobacie i na mocy decyzji Stalina własne dzieci. Triumf socjalizmu, szybko, także dzięki ogromnej energii Stalina, dzwignię Kraju Rad niemal w każdej dziedzinie życia, i trudna do opisanego tragedia. Triumf i tragedia, równocześnie.

A może przyczyną tej mieszaniny wielkości i nicości, dobra i zła była również nie rozpoznana choroba psychiczna Stalina? — zapytuje profesor. Jakże zrozumieć fakt, że nawet żonę Molotowa, który był przecież, i to do końca, najbliższym współpracownikiem Stalina, także uznano za „wroga ludu”? Wrogami ludu byli: brat Kaganowicz oraz dwunastu członków i zastępców członków Biura Politycznego wybranych na XIV Zjeździe WKP (b), na tym Zjeździe, na którym delegatem w grupach republikańskich odczytano słynny „testament Lenina”. Testament, niestety, nie wykonany.

Okazuje się, że każdy ustrój, także socjalistyczny, w pewnych warunkach może mieć swojego Iwana Groźnego.

Profesor Wolkogonow cytując słowa starego bolszewika, Kupcowa, który niewinny wiele lat spędził za drutami kolczastymi syberyjskich obozów. „Ani razu nie zrodziła się u mnie myśl o zamianowaniu naszych idei i ustroju. Krawcowa, potworna niesprawiedliwość łączona była wyłącznie z jakimiś tragicznymi błędami, pomyłkami, błędem konkretnych osób”.

I tacy jak bolszewik A.J. Kupecow zadecydowali o przyszłości i wielkości socjalizmu.

JACEK WOCH

W konsekwentnym dążeniu do decentralizacji, zwiększenia uprawnień ale i obowiązków samorządów terytorialnych, wzrasta ranga organów przedstawicielskich — rad narodowych wszystkich stopni oraz Sejmiku. Dotychczasowy system wyborczy uznaliśmy przeto za nie-uzupełniony w dobie głęboko przeprowadzanych reform. Ten system — to ciasny gorset, krepujący rozwój samorządności i samodzielności terenowej, tworzący bariery uniemożliwiające obywatelom skuteczne działanie efektywne w nowych warunkach społeczno-politycznych i gospodarczych. Przeciwnie właśnie z takiego systemu głosowania a nie autentycznych wyborów, zrodziło się popularne powiedzenie: „radny — bezradny”. Oczywiście, nie można tego generalizować i stosować do wszystkich radnych, reprezentujących wszystkie środowiska zawodowe i społeczne. Niemniej, faktem jest, iż zbyt często mieliśmy radę narodowe, których głos był podporządkowany administracji, bądź też — bagatelizowany i nie sprowadzany do konkretnej praktyki. Jakże często słuszne uchwały radnych pozostawały na liście „pobożnych” życzeń, bowiem w systemie nakazowym i nieraz zbiurokratyzowanym, nie znajdowały miejsca u ludzi, zajmujących z urzędu odpowiedzialne stanowiska i decydujących odtąd, co jest słuszne w wysuwanych na sesjach postulatów i dezyderatach, a co nie zgadza się z ich subiektywnymi odczuciami.

Stąd właśnie Tezy przygotowane przez Radę Państwa, dotyczące nowego systemu ordynacji wyborczej, spotkały się z wielkim zainteresowaniem społecznym. Tezy te zostały przedstawić alternatywnie, a i dyskusja o bywaleci objęła szeroki zasięg, często o charakterze polemicznym wobec propo-

zycji, często optująca za proponowanymi zmianami.

Jednak jest pewna grupa zagadnień, związanych z projektem nowej ordynacji wyborczej, która uzyskała zdecydowaną aprobatę większości wyborców. Dotyczy to przede wszystkim trybu wyłaniania kandydatów na radnych przez wszystkie legalnie działające organizacje społeczne i polityczne, umieszcza-

POSZERZANIE OBSZARÓW SAMORZĄDNOŚCI

nia na listach wyborczych nazwisk kandydatów w porządku alfabetycznym, z informacją, kto ich wytypował na radnych i jakie mają walory. Zaaprobowano też powszechnie zapis Tez, mówiący o tym, iż wybory mają charakter tajny a karty wyborcze bez żadnych skreśleń nie będą uwzględniane przy obliczaniu wyników wyborów. Zniesiono więc system, preferujący kandydatów, umieszczonych na pierwszych miejscach list wyborczych.

Te, a także wiele innych zmian w ordynacji wyborczej, zdają swój egzamin pod jednym oczywiście warunkiem. Tym warunkiem jest konieczność wyboru na adnych ludzi, cieszących się autorytetem i uznaniem w swoich środowiskach, mądrych i rozsądnych, ale przy tym znanych ze swej aktywności społecznej. Wiele zatem walorów powinni posiadać nasi przyszli przedstawiciele w organach samorządu terytorialnego. To oni będą budować autorytet

społeczny wsi, gmin, miast i województw. rad narodowych, jako rzeczywistych go. Ale zarazem niezbędne wydaje się podjęcie wysiłków na rzecz budowy tych autorytetów przez administrację państwową różnych szczebli. Posłużyć się tu konkretnym przykładem. Od kilku co najmniej lat sulechowski radni domagają się ponownego uruchomienia w swym mieście mleczarni. Na sesjach Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w

tej sprawie zrodziło się już chyba kilka uchwał, przekazanych Urzędowi Wojewódzkiemu w Zielonej Górze. I te uchwały mają swoje społeczne uzasadnienie. Kiedyś, gdy funkcjonowała w Sułechowie mała mleczarnia, nie było kłopotów z rannym zakupem mleka. Dziś dość często bywa, że mleko z Zielonej Góry dostarczane jest do sulechowskich sklepów dopiero w godzinach popołudniowych. Ludzie po prostu klną. A wojewódzka spółdzielczość mleczarska udaje, że nie ma sprawy...

To tylko jeden z przykładów, ukazujących jak trudno radnym przełamać biurokratyczne nawyki i wpłynąć na zmianę struktury działania monopolistycznej dystrybucji artykułów nabiałowych. Takich monopolistów, nawykłych do wieloletnich rutynowych działań mamy zresztą sporo. Toteż nowe warunki nałożą na nowo-wybrane rady poważne obowiązki i skutecznego reprezentowania swoich środowisk.

Partia i stronnictwa polityczne wspierają wszelkie działania na rzecz pogłębiania i rozwoju samorządności. W Uchwale VI plenarnego posiedzenia KC PZPR stwierdzono: „Za szczególnie ważne dziś zadanie Komitet Centralny uważa skuteczniejsze wykorzystanie podstawowych instytucji ludowości do rozszerzenia udziału obywateli w podejmowaniu istotnych dla kraju i środowisk lokalnych decyzji oraz w kontroli ich realizacji. Opowiadamy się za umocnieniem w naszym systemie politycznym wszystkiego, co wywodzi się z politycznej energii, wiedzy i inicjatyw, podnosi obywatelską odpowiedzialność, pogłębia świadomość dyscyplinę, utrzuca jawność i praworządność, rozwija gwarancje praw i wolności obywateli. Za zdecydowanym eliminowaniem wszystkiego, co tworzy bariery dla politycznej aktywności rodni poczucie podziału na rządzących i rządzone, stanowi podłoże biurokratycznych wypaczeń. W tym upatrujemy najważniejsze warunki wzrostu siły socjalistycznego państwa i zwiększenia sprawności jego organów.

Uważamy za niezbędne umacnianie politycznej rangi Sejmu i rad narodowych, ich nadrzędnej roli wobec organów wykonawczych — zarządzających, a jednocześnie tworzenie warunków skutecznego wypełniania ustrojowych funkcji administracji państwowej. Za szczególnie ważne uznajemy zwiększenie samodzielności rad narodowych jako aktywnie gospodarujących organów samorządu terytorialnego, łączących funkcje organów władzy lokalnej z zadaniami ogólnopaństwowymi.

Teraz trzeba te także słuszne sformułowania przenieść na grunt praktyki. A to już zależy od nas wszystkich.

KRZYSZTOF KLON

ZADRA

Bilans budownictwa mieszkaniowego

Kiedy VIII Zjazd NSPJ w 1971 r. uchwalił program rozwiązania do 1990 roku kwestii mieszkaniowych w NRD jako istotnego problemu społecznego, obliczono, że wymagać to będzie zbudowania i zmodernizowania około 3,3 mln mieszkań wraz z niezbędnym zapleczem socjalnym — oświadczył na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi w Berlinie minister budownictwa NRD, Wolfgang Junker. Oceniając przebieg realizacji programu minister podkreślił, że przebiega ona planowo. Z roku na rok rośnie liczba przekazywanych do użytku mieszkań. Zbudowano, względnie zmodernizowano ich już 2,4 mln kosztując 260 mld marek.

Na osiedlach powstały zaplecza socjalno-usługowe. Wiele uwagi poświęcono równoczesnej budowie placówek oświatowo-wychowawczych. Wzniesiono ponad 2 tys. szkół, każda o 24 pomieszczeniach lekcyjnych, i ponad 2 tys. hal sportowych. Dziś w przedszkolach są miejsca dla 887 tys. dzieci, w żłobkach jest 370 tys. miejsc. Oznacza to, że 70 proc. dzieci do lat 3 może korzystać ze żłobków, natomiast do przed szkoły może uczęszczać każde dziecko w wieku 4-6 lat.

Powstało 120 tys. własnościowych domków jednorodzinnych. Można je budować otrzymując kredyt w wysokości 80 proc. kosztów budowy. Kredyt jest oprocentowany w wysokości 1 proc. a jego spłata rozłożona na 20 lat. Koszt budowy domu o powierzchni użytkowej 120 m. kw. wynosi około 90 tys. marek.

Ogółem, wskutek realizacji programu poprawiły się warunki mieszkaniowe 7,2 mln mieszkańców NRD. Zdaniem ministra, industrializacja budownictwa mieszkaniowego jest zasadniczą przesłanką budowy w szybkim tempie, dużej liczby mieszkań. Dowiódł tego przykład NRD, która w obliczu braków siły roboczej osiąga znakomite wyniki wyłącznie drogą zwiększenia wydajności pracy. W NRD jest 50 fabryk domów o zdolności produkcyjnej 150 tys. mieszkań rocznie. Automatyzacja procesów wytwarzania, kooperacja projektowania i racjonalizatorskich pozwoliła na znaczny wzrost wydajności pracy. Na początku lat 70-tych pracochłonność budowy 1 mieszkania wynosiła 600 godzin. Dziś wymaga to 320 godz., a przy budowie dużych osiedli miejskich nawet do 250 godzin. Są to wyniki nie gorsze od francuskich czy szwedzkich. Zgodnie z programem XI Zjazdu NSPJ zbudowane zostanie ponad 1 mln mieszkań wraz z całym niezbędnym zapleczem.

Po zrealizowaniu programu mieszkaniowego w 1990 r., mieszkania będą budowane nadal. Stale poprawiać się będzie również zaplecze socjalne i wypoczynkowe, budować dalsze hale i obiekty sportowe, modernizować system dróg kołowych i komunikacji miejskiej. Zdaniem ministra Junkera nie ma obawy, by wyspecjalizowane brzołady budowlane nie miały co robić. W NRD trzeba zbudować nowoczesną bazę czasowo-

wypoczynkową na wybrzeżu Bałtyku, w Harzu i w Turynii. W miastach potrzeba jest wielu nowych hoteli.

Opieka nad matką i dzieckiem

W NRD zabrania się zatrudniania w godzinach nadliczbowych i w nocy kobiet w ciąży i młodych matek. Jeśli kobieta w ciąży lub matka karmiąca nie może nadal pracować na dotychczasowym stanowisku, zakład jest zobowiązany zaoferować jej lżejszą pracę. Kobiety w ciąży i młode matki mają również szczególne prawa, gdy chodzi o wypowiedzenie pracy. Zaden zakład nie może zwolnić z pracy kobiety w ciąży, matki karmiącej, matki z dziećmi, które nie przekroczyły jednego roku życia, oraz samotnych ojców lub matek z dziećmi do 3 lat.

W związku z urodzeniem dziecka czynne zawodowo kobiety otrzymują co najmniej 26 tygodni płatnego urlopu: 6 tygodni przed rozwiązaniem i 20 tygodni po rozwiązaniu. Matka pracująca, która pragnie swoje pierwsze dziecko wychować przez jeden rok w domu, nie traci miejsca pracy w zakładzie. Przy urodzeniu drugiego i każdego następnego go dziecka matka może skorzystać z płatnego urlopu aż do ukończenia pierwszego roku życia przez nowo narodzone dziecko. Otrzymuje ona wtedy normalny zasiłek chorobowy, nie mniej jednak niż 300 marek miesięcznie.

Maksymalna długość płatnego zwolnienia na opiekę nad chorym dzieckiem jest zależna od liczby dzieci w rodzinie. Poczynając od trzeciego dnia zwolnienia, w wypadku rodziny z trzema dziećmi, płatne zwolnienie przysługuje przez 8 tygodni, z czworgiem dzieci — 10 tygodni, a z pięciorgiem dzieci i więcej przez 13 tygodni w roku kalendarzowym łącznie.

Młode matki mogą korzystać z rozwiniętej sieci poradni matczyńskich. Ok. 10 tys. tego rodzaju placówek pomaga przyszłym matkom we wszystkich sprawach dotyczących niemowlęcia i małego dziecka do lat trzech. Matki i dzieci, potrzebujące specjalnej opieki, lekarz może skierować na pobyt w domu opieki.

Rozbudowa sieci takich placówek spowodowała, że NRD zalicza się dziś do krajów notujących znikomą śmiertelność matek i niemowląt.

ZALABA

Fundacja dla ofiar nazizmu

W Berlinie Zachodnim tworzy się prywatną fundację, która ma pomagać finansowo ofiarom narodowego socjalizmu. Majątek fundacji wyniesie prawdopodobnie 5 mln marek, wyasygnowanych z budżetu miasta. Dotychczas nie podjęto decyzji, jaka organizacja będzie reprezentowała fundację od strony prawnej. Senat (rząd) Berlina Zachodniego zlecił senatorowi do spraw wewnętrznych, Wilhelmowi Kewenigowi (CDU), opracowanie statutu fundacji. Ma ona nieść pomoc ofiarom nazizmu, które do tychczas nie zostały uwzględnione przy wypłacaniu odszkodowań — na przykład Cyganom, homoseksualistom, przy

musowo sterylizowanym oraz robotnikom przymusowym. Przewiduje się, że o pomoc będą ubiegać się także przesiedleńcy — którzy przybyli na Zachód po 1969 r. i nie zdążyli dlatego złożyć stosownych wniosków w odpowiednim terminie.

Podsekretarz stanu w zachodniobermberskim resorcie spraw wewnętrznych, Peter Conen, oświadczył, że Berlin Zachodni nie zamierza dłużej czekać, aż ewentualne decyzje w sprawie tych osób zostaną podjęte na szczeblu federalnym. Według Senatu, utworzenie funduszu państwowego — o co zabiegała Izba Deputowanych — nie jest możliwe ze względu na przeszkodę natury konstytucyjnej. Równocześnie podano, że osoby prześladowane przez narodowy socjalizm na tle politycznym, rasowym czy religijnym otrzymają więcej pieniędzy. Senat uchwalił podwyżkę rent i dodatków dla tych osób (która będzie obowiązywać wstecznie od stycznia br.) średnio o 10 proc. Według władz, skorzysta z tego około 1,2 tys. mieszkańców Berlina Zachodniego. W tym roku otrzymają one ponad 9,2 mln DM.

Instytut Goethego i propaganda

W 66 krajach świata działa 148 instytutów Goethego — ośrodków informacyjnych RFN, popularyzujących codzienność i oświeceniowy obraz Republiki Federalnej. Biuletyn socjaldemokratyczny, SPD PRESSEDIENST, zwraca uwagę na rozliczne próby, inspirowane lub inicjowane przez przywódcę CSU, Franza Josefa Straussa, przekształcenia tych ośrodków w narzędzie propagandy. Ośrodek te miałyby nosić w dodatku pieczęć skrajnie konserwatywnego nurtu chadeckiego i stanowić niejako przeciwieństwo polityki zagranicznej, jaką uprawia resort Hansa-Dietricha Genschera. Bawarscy socjaldemokraci zwrócili uwagę na liczne już ataki Straussa, względnie jego ludzi, na profil działalności instytutów Goethego oraz na wysuwanie przez niego żądania „zmian personalnych” w resorcie kultury MSZ, któremu te instytuty podlegają. Nie bez przyczyny w prasie kontrolowanej przez środowisko Straussa ukazują się napaści na instytuty Goethego, za przedstawienie rzekomo zbyt pesymistycznego, krytycznego obrazu Republiki Federalnej za grani-

cą. Wiceprzewodniczący krajowej SPD w Bawarii, Hedda Jungfer, zapytała w interpretacji polskiej, czy mnożące się uszczypliwości pod adresem tych placówek oznaczają zapowiedź „przekształcenia ich jedynie w instrument propagandy w służbie narodowej polityki za granicą”.

Czy odbędą pielgrzymki?

Pytanie to jest ostatnio przedmiotem bezustannych żartów prasy i innych publikatorów w Republice Federalnej. W 1983 roku, tuż przed zaistnieniem na terenie RFN nuklearnych amerykańskich rakiet średniego zasięgu „Pershing 2” oraz „Cruise”, premier Bawarii i szef CSU Strauss oświadczył, że odbędzie 180-kilometrową pielgrzymkę na trasie z Schongau, czyli miejsca zamieszkania, do Altoetting, słynnego miejsca pielgrzymek w Bawarii, jeżeli kiedykolwiek „sowieci” zaakceptują zerowe rozwiązanie czyli usunięcie rakiet SS 20. Jeszcze dalej posunął się minister Obrony Woerner, który jesienią tegoż roku oświadczył w parlamencie zachodniemieckim: „Powiedziałem w wywiadach telewizyjnych i potwierdzam tu przed waszą Izba, że będę na kolanach pielgrzymował z mojego okręgu wyborczego w Badenii-Wirtembergu do Bonn, jeżeli kiedykolwiek się uda urzeczywistnić cel wyparcia z tego świata rakiet średniego zasięgu”. Obu kandydatów do pielgrzymki wzięto za słowo. Prawie natychmiast po podjęciu układu Gorbaczow - Reagan deputowany Zielonych w Bundestagu, były podpułkownik Mechttersheimer, wezwał Straussa do spełnienia obietnicy i ufundował premierowi Bawarii gronnicę. Z kolei na następny, transmitowany przez telewizję, posiedzeniu parlamentu deputowana Zielonych Angelika Beer zacytowała z protokołu parlamentarnego zobowiązanie Woernera z 16 września 1983 r. i wyczerpała przed kamerami ministrowi parę solidnych napaści. Dziennikarze nie tylko ciekawą na dotrzymanie słowa wyz. wym. ale sprawdzają, kto jeszcze w frakcji CDU/CSU podjął podobne zobowiązania. Bezpośrednio wywołani do apelu, a ściślej mówiąc do realizacji swych obietnic milczą twardo, chociaż wobec nieustannej kampanii środków masowe go przekazu chyba będą jednak zmuszeni do zabrania głosu.

(Tema)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Magister II pociągnęła nosem. — Dlaczego nie poinformowali wcześniej? Człowiek, co nie?, raz nie dys w ogóle jedzie. Mogłam nakupić jakichś sztruksów, co nie?, tańsze i w ogóle. — Kto pani powiedział, że dziś sy już nie idą? — O, ten wysoki pan w kapeluszu. — A pan skąd...? Bo ja, nieprawdaż, zamierzam, moja córka w tym roku zdaje maturę, więc pierścionek z brylantem. — Adidasów też pani nie sprzedaje. Chyba że. Poniżej kosztów. Oplacalności. — Magister II otarła nos. — Co zrobić z ośmioma parami dzinsów? Specjalnie przyszywałam metki, co nie?, żeby wyglądały na amerykańskie. — Najlepiej, nieprawdaż, się kalkuluje handlować bielizną damską — stwierdziła Starsza Księgowa i ze znajomością praw rynku opowiedziała, na co jest jeszcze niemały popyt. — Chusteczki do nosa? — spytał uznający się za fachowca Kapitan Rezerwy. — Jak Boga szczerze Kocham, gdybym nie

Noc w hotelu Dnipro przebiegała normalnie. Koło trzeciej nad ranem Kapitan Rezerwy wyszedł z pokoju, który zajmowała Magister II i udał się do pokoju przydzielonego Starszej Księgowej, z którego o drugiej trzydziestej wybiegł Mecenasa. W apartamentach Pilotów było również cicho, choć co jakiś czas wchodził tam ktoś posmutniały i wychodził rozanielony. Głośniejsze zachowywały się panowie mieszkający w pokoju 333, ale nikomu to nie przeszkadzało. Panie z 335 kuszaco pukaly w ścianę oddzielającą ich pokój od pokoju zajmowanego przez Mecenasa i Kapitana Rezerwy. Tylko w pokoju 334 działo się coś niedobrego. — Nie aniewaj się. — Tak, ki wstyd, taki wstyd. Co sobie pomyśli ta Magister I? — A... — Mój stary potrzebuje na tydzień walizkę przerwa-ty. — Kto w to...? — Ja... — Nie płacz proszę cie. — Ja jeszcze nigdy z pre-... bo to inaczej, nowocześnie. — To tak, jakbyś liła cukierek przez papier.

Wiceprezes: — Ciii, to pan Mecenasa. Wiceprezesina: — Przepraszam, wyrwało mi się. Starsza Księgowa: — Podobają się pani doktor pierścionczki? — Ona, to znaczy się, moja córka, w tym roku zdaje maturę. Bardzo zdolne dziecko, nieprawdaż. Wybiera się na medycynę. W Charkowie nikt się nie martwił, co i za ile sprzedać, lecz — co kupić. Z wyjątkiem Docenta. Kalendarze, które prze-mycił przez granicę, ciągle leżały w walizce powiązanej po dziesięć sztuk. W Kijowie nie znalazł nabywcę. Prawdę mówiąc, nie szukał klienta byle jakiego, a takiego jak on sam. Spodziewał się, że w Charkowie, mieście także niemającym, sprzeda je bez trudu pierwszemu lepszemu kandydatowi nauk. — Wieczorem, gdy wszyscy spotkali się przy hotelowej kolacji, tylko Docent miał mi-nę skwaszoną. Palce smukłej dionii Ma-

Prześlasknięte ropą naftową Baku zachwytyło wszystkich, najgorzej Kapita-na Rezerwy i Magister II, którzy mie-li pokój obok siebie. Wywołało to niezadowolone Starszej Księgowej, ponie-waż jej sąsiad przez ścianę, czyli Do-cent, zaraz po kolacji umknął z hotelu Azerbejdżan, a w nocy nie umiała go zbudzić. — Pan tak wszędzie samotnie? — spytała Docenta przy śniadaniu. — Nikogo nie znam. — Powinnismy się poznać. Starsza Księgowa. Moja córka w tym roku zdaje maturę. — Wy-ciągnęła rękę do niego, a zrobiła to tak, by dostrzegł pierścionki.

Przed obiadem większość, co się zda-rzyło jeden raz, pojechała zwiedzać za-wojski Islamu. Gdy autokar zatrzymał się przed minaretem Synyk Kaia, Kapitan Rezerwy w towarzystwie Magis-tera II camyknął między straganami na oazarze. — Jezus Maria, ileż bogactwa! Daktyle, granaty, churma, orzechy wio-skie i leśne, rodzynki, winogrona. Gdybym nakupił tego dobra, prze-wioził do Zielonej Góry i sprzedał? — Jasnowłosa, błękitnooka, pachnąca per-umami marki „Soir de Paris” Magis-ter II zdążyła chwycić go za rękaw kur-tki. — Oni zaraz mnie zgwałcą, co nie! — A smolistowaci Azerbejdżanie tymi swoimi węgielnymi oczyma szli za nią, prosząc, by skosztowała choć ziarnko granatu. W sektorze warzywnym Kapitan Rezerwy wybuchł śmiechem. — Czo-snek po dwa ruble? — I szybko liczył za-lamując palce u obu rąk: — U nas ki-logram czosnku kosztuje dwa tysiące złotych, a tu tylko dwa ruble. Gdybym kupił dziesięć kilogramów, to zarobił co najmniej osiemnaście tysięcy złotych. — A jeśli byś nabył dwadzieścia kilo-gramów i w ogóle? — spytała Magis-ter II. — Albo trzydzieści! — A czter-dziesiąt? — Ale, ale, za co kupić? Co sprzedać? Została mi jedynie biała ko-szulka, brudny ręcznik i pocierowane skarpety. Chyba, że ty... — Kurtkę? — podpowiedziała Magister II. — Kurtkę? Kurtkę! Kosztowała sześć tysięcy zło-tych. W zeszłym roku. Jeśli opyle ją za sto rubli? — Jak pomyślał, tak zro-bił, z tym wyjątkiem, że sprzedał kurt-kę za osiemdziesiąt rubli. A gdy dźwi-gał na lotnisko czterdzieści kilogramów czosnku, był przekonany, że zrobił na-jlepszy interes.

— Czosnek? — pukał się w czoło Wi-ceprezes. — Zwarował — żeś pan czy co? — Ten się śmieje, kto się ostatni śmieje, co nie? — stanęła w obronie Kapitana Rezerwy Magister II. — Ja też kupiłam czosnek.

Gdy samolot wystartował do Warsza-wy, w magazynie celników pozostały telewizory, radia, aparaty fotograficz-ne, pierścionki z rubinami, brylantami, agatami, bransolety złote i pozłacane, lańcuszki, broszki, skóry karakulowe, kawa. Każdy mógł zabrać ze sobą to-wary wartości do 135 rubli, czyli za tyle, ile przewiózł legalnie z Polski. Z wyjątkiem Kapitana Rezerwy i Magis-tera II. Celników nie interesowały ani wazywa, ani owoce.

— Dostanie się dofinansowanie — po-wiedział Kapitan Rezerwy — i wydat-ki na wycieczkę się zwróci.

— A kiedy sprzedam ten czosnek, to będę miała akurat na wycieczkę do Turcji — pochwaliła się Magister II.

mołodowego, Ludwik został biologiem, Leonard — nauczycielem, Wojciech — pływającym oficerem marynarki, a Kla-ra jest krawcową, rezyduje w pobliskiej leśniczówce.

No a co z ziemią?

Idę wśród zielonych łąk, ogrodzonych żerdziowymi plotami. Pejzaż jak z Mal-czewskiego, brak tylko pastuska i mu-zy na płocie. Pastuszek niepotrzebny, bo krowy pasą się na ogrodzonych po-letkach, a muza, choć niewidoczna, jest wyczuwalna, bo w otoczeniu sołtysa z Lubianki atmosfera zawsze poetycka. Tym razem muza trąca nuty najsmut-niejsze. Pola za ogrodzeniem szarzeją odłogiem, już w ich kierunku pnie się przydrożny płot. To ziemia zdana za rentę. Przejęta przez Państwowy Fun-dusz Ziemi — nie będzie plonować w tym roku.

— Nie tylko ta ziemia stoi odłogiem — mówi z zaskaniem pan Michał. — Jak się rozejrzeć, widać dużo takich pu-tych miejsc. Tu nie ma PGR-u, a od-dalonym gospodarstwom nie opłaca się przejmować rozproszonych kawałków. Syn Leonard wydzierżawił plachetek przy domu, postawił folię, zajął się po-midorami. Ale na to nie trzeba dużo. Reszta — pustuje...

Wracamy ku domowi, mijając sadek owocowy i barwny ogródek kwiatowy.

— Gdy zaczynałem, była tylko jedna jabłoń. Teraz są jabłonie, grusze, śliw-ki, krzewy owocowe...

Na tle tej owocowo-kwiatowej zieleni domek sołtysa nabiera szczególnego ciepła i swojskości.

— Ech, gdybym w młodości miał „Pa-na Tadeusza” — wzdycha sołtys. — Umiałbym go na pamięć. Teraz już tru-dniej przyswajać teksty. Ale chcę przy-gotować fragment „Ostatniego zajazdu na Litwie”, bo Skwierzyński Ośrodek Kultury ogłosił konkurs na recytację tego poematu...

IRENA ADAMCZUK

Co się wydarzyło w muzeum

Ciąg dalszy ze str. 3

prokurator osadził Janusza K. w areszcie śledczym. W toku dalszych prze-słuchań wydało się, że Janusz K. skłonił byłego kierownika muzeum Mieczysła-wa C. do złożenia fałszywych zeznań. Również on sam wielokrotnie zmieniał własne zeznania.

Nim doszło do sformułowania treści aktu oskarżenia, kilka osób z zielono-górskiego środowiska naukowego usiło-wało nie dopuścić do tego, by Janusz K. znalazł się na ławie oskarżonych.

Pod koniec sierpnia 1987 r. Prokura-tura Wojewódzka skierowała do Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze akt oskarżenia przeciwko Januszowi K., oskarżając go o to, że:

I. w okresie od 1 lutego 1984 r. do stycznia 1987 r. w Zielonej Górze, jako zastępca dyrektora do spraw administracyjnych i kierownik działu historycznego Muzeum Ziemi Lubuskiej, wykorzystując tym samym trwałą sposobność, zagarnął ze zbiorów muzeum 4 sztuki broni białej, 8 sztuk broni palnej, stare druk „Ius municipale” oraz kwiec-nik trójramienny, ogólnej wartości 1.390.000 zł, a nadto usiłował za-garnąć atlas historyczny wartości 75.000 zł, wypożyczony z biblioteki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, przedstawiając go komisji inwentaryzacyjnej jako wielkiej wartości atlas brakujący w dziale historycznym muzeum, po usunięciu oznaczeń biblioteki — lecz zamierzonego celu nie osiągnął, gdyż ujawniono tę podmiarę;

II. w okresie i miejscu jak w punkcie I, jako zastępca dyrektora do spraw administracyjnych Muzeum Ziemi Lubuskiej, odpowiedzialny między innymi za zabezpieczenie mienia muzeum, nie dopełnił podstawowe-go obowiązku — dążenia do „prawidłowego zabezpieczenia najcen-niejszych obiektów, a szczególnie nie zarządzenia zamontowania zam-ków specjalnych i obowiązku pło-mowania drzwi pracowni-magazy-nów, choć wiedział, że proste zam-ki patentowe nie stanowią wystar-czającego zabezpieczenia mienia przed kradzieżą, w wyniku czego w 1986 r. z pracowni historycznej zaginęła lampa naftowa, dwa tomy Kazań Ks. Piotra Skargi, atlas geo-graficzny, z działu winiarskiego trzy kufle cynowe, jeden dzban cy-nowy i trzy inne kufle, a z działu sztuki dawnej — 4 zegarki oraz 1 ikona — ogólnej wartości 2.344.000 zł — działając na szkodę muzeum”.

Rozprawa przeciwko Januszowi K. odbyła się przed Sądem Wojewódzkim w trybie zwyczajnym w dniach od 19 października do 28 grudnia 1987 r. z przerwami. Pierwszego dnia Janusz K. oświadczył, że zrozumiał zarzuty sformułowane w akcie oskarżenia, lecz nie przyznał się do winy. W ciągu siedmiu godzin Janusz K. odpowiadał na pyta-nia sądu, określając między innymi, która wersja jego dotychczasowych ze-znań jest właściwa. W sprawie Janusza K. sąd zbierał się jeszcze sześć razy, przesłuchując 34 świadków, pracow-ników Muzeum Ziemi Lubuskiej, Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Desy, rzemieślni-ków i właścicieli zakładów prywatnych. Swoją opinię wyraził biegły, powołany przez sąd. Ostatniego dnia rozprawy zabrał głos prokurator, domagając się uznania Janusza K. winnym i ukarania go. Oskarżenie wniosło o wymierzenie Januszowi K. kary: dziesięciu lat pozbawienia wolności, 1,5 mln zł grzywny, konfiskaty mienia w całości, pozbawie-nia praw publicznych na pięć lat i orze-czenia zakazu wykonywania pracy na stanowiskach kierowniczych przez pięć lat oraz zapłacenie odszkodowania. Zda-niem oskarżenia wyrok powinien być podany do wiadomości czytelnikom „Ga-zety Lubuskiej”. Obrona uznała, że ka-ra zaproponowana przez prokuratora jest za wysoka. Zdaniem obrony oskarżenie nie przedstawiało absolutnych dowodów winy Janusza K. Prosząc sąd o łagodny wyrok, Janusz K. powiedział także: „Proszę Wysoki Sąd o zwrócenie uwa-gi na wszelkie sprawy związane z mo-im życiem”.

30 grudnia 1987 r. Sąd Wojewódzki w Zielonej Górze ogłosił wyrok. Sąd uznał, że Janusz K. zagarnął z Mu-zeum Ziemi Lubuskiej starodruk „Ius municipale” i za to wymierzył mu karę — dwa lata pozbawienia wolności i 150 tysięcy złotych grzywny, lagodząc ją o połowę; usiłował zagarnąć atlas histo-ryczny będący własnością WSP, za co ukarał go szesnastoma miesiącami wię-zienia i grzywną w wysokości 150 ty-sięcy złotych; nie dopełnił obowiązku w zakresie nadzoru, dopuszczając do za-ginięcia mienia muzealnego, za co został skazany na półtora roku pozbawienia wolności. Ostatecznie sąd wymierzył Januszowi K. łączną karę w wysokości dwu lat więzienia i 250 tysięcy złotych grzywny. Sąd zakazał mu pełnienia fun-kcji kierowniczych i odpowiedzialnych materialnie przez cztery lata. Koszty sądowe pokryje Janusz K. Wyrok nie jest prawomocny.

ALFRED SIATECKI

Od redakcji: W najbliższych nume-rach „Nadodrza” przedstawimy cykl re-portaży, w których poznamy czytelniki-ków z kulisami tej sprawy.

WYCIECZKA DO BAKU

Piotr Giermek

wiedziała jeszcze w zeszłym miesiencu koleżanka od nas z zakładu kasjerka na wypowiedzie brała po trzy ruble za sztu-ke jak le ale muszo być chińskie. — Ruble czy chusteczki? — zażartował z Bufetowej Kapitan Rezerwy. — A ja tam panie władza jęde se na wycieczkę dostałem nagrodę i se jęde zobaczyć jak przyjaciele budujom socjalizm — odezwał się Wiceprezes. — Wariat? — Do Baku jęem był w Mińsku dwa razy w Moskwie i se nie żaluję. — Nie pan nie zabrał ze sobą? — Zone. — Wiecie, szanowni państwo, że u nich także od-będzie się referendum? — Noo coś mó-wili w telewizji albo w wolne europie, żartuje pan zara będzie nasz odłot o! ju zapowiadajo gadaj pan ten kawał na pewno pośmiać się można. — Będą mu sieli odpowiedzieć tylko i wyłącznie na jedno pytanie: Wolisz jęść biały chleb nad Morzem Czarnym czy odwrotnie?

Na lotnisku kijowskim celnicy stwier-dzili, że Starsza Księgowa zamiast je-dnej pizamy wzięła pięć tuzinów jed-wabnych majteczek, Magister I nie wie, kto do jej skórzanej walizki włożył aż sześć par dzinsów, cztery kapy i osiem biustonoszy, każdy innej wielkości, a Wiceprezesina ma trzydzieści sześć blu-zek elastycznych i dwie bawełniane, przecenione nie wiadomo dlaczego. Cel-nicy zajrzeli do walizek innych dzia-ła-czy Towarzystwa, lecz prócz przedmio-tów osobistego użytku i upominków nie znaleźli w nich niczego, nie licząc zna-rodnej ilości prezerwatyw w torbie pod-różnej Wiceprezesa. Docent, jak więk-szość uczonych, miał ze sobą książki.

Miedzy śniadaniem a obiadem część wycieczki zwiedziła Ławrę Peczerską, so-bór Sofijski i pozostałości Złotej Brama-y. Przed kolacją kilku aktywistów w towarzystwie Mecenasa wybrało się naj-pierw nad Dniepr, a potem do sklepu firmowego fabryki czekolady.

Wiceprezesina: — Człowiek płaci ta-kie pieniądze. Kiedy byli my w Lenin-radzie, to ogłondali muzeum. Na dwo-raz jakby się kto powiesił, a my w cie-ple. W Wilnie my poszli na koncert.

Magister II: — Nudno tu, co nie? Bufetowa: — A jacy niesympatyczni ludzief! Gdy przyjechalismy do hotelu, puk puk! wchodzi jedna i pyta czy to mówię ależ owszem jedwabne po dzie-sięć rubli te duże male oddam za osiem jak leci wzięła ale za chusteczki to ju da-wała po dwa guplom znalazła ja bede sie narażała.

Magister I: — Miałam, że się tak wy-rażę, więcej szczęścia. Dwa komplety chusteczek sprzedałam za trzydzieści pięć rubli.

Dentystka: — A ja za bluzkę, w któ-rej bylam w Turcji, dostałam czterdzie-ści jeden. Za kozaczki chciałam...

Magister II: — Identyczne, co nie?, sprzedałam za sześćdziesiąt.

Dentystka: — W Kijowie?

Magister II: — W zeszłym roku w Miń-sku.

Wiceprezes: — Moja żona już se uskla-dała na telewizor.

Mecenasa: — Przenośny?

Wiceprezesina: — Coś pan taki cieka-wy?

gister I zdobył dwa pierścionki. Den-tystka upięła włosy nad uchem, by każ-dy widział, na jak wielki kołczyk było ją stać. Nawet Wiceprezesina lypała za lotnisko do Wiceprezesa. A Docent rozwa-żał, kogo się poradzić: Prokurator nie jest pewny. Kapitan Rezerwy? Wi-ceprezes wypapla żonę, Mecenasa albo Pi-łot? Broni mnie, Panie Boże, przed me-cenasami i milicjantami! Wyglądało na to, że z tej sytuacji już nie ma żadnego wyjścia. Mimo to Docent wyszedł przed hotel, zaklął i splunął pod nogi. — Mu-si być jakieś wyjście! Przecież nie po-wiozę tego do do-u. — I kiedy tak mówił sam do siebie, usłyszał język mu najbliższy: — Robim, kur zapiał, na budowie. Energopol. A ty? — W pierw-szej chwili Docent zamierzał się obra-zić, bo żeby tak mówił do niego przez ty, ale po namyśle rzekł sobie: Jeśli nie ten, to żaden inny. — Jest, kur zapiał, taka sprawa — i Docent przyznał się, że przed wyjazdem na wycieczkę kupił troszkę przeterminowanych kalendarzy, które chciałby sprzedać. Rozumie się, że za pośrednictwem zapłaci. — Na tych dziesięciu go gołe, hmmm? — Tak. — Dobrze du...? — Ależ tak! — Jolki-półki, bier! Ile masz? — To znaczy, nabywa-pan wszystko? Bo tego jest, no, sto pa-czek po dziesięć sztuk w każdej. — I tyś, kur zapiał, bez granice...? — Tak jakoś, kur zapiał — tłumaczył się Do-cent — wie pan... — Dostaniesz pięńset rubelków. — Mało! — wykrzyknął Do-cent. — To szukaj se innego ciula. — Pan-że mnie zrozumiał, proszę nie odchod-zić, nie chciałem obrazić.

w okolicy Barlinka, jechał rowerem przez Lubiankę.

— Byłbym przejechał, ale kątem oka zobaczyłem wóz zaburząski. Takie te-raz stoją w Muzeum Okręgowym. Koła drewniane, przez solidnego kołodzieja robione...

I tak, jak w „Samych swoich”, gdzie bohaterowie wysiedli z transportu, bo zobaczyli znajomą krowę, Michał Lip-nicki zwabiony rodzinnym widokiem chłopskiego wozu — zsiadł z roweru. Nową rodzinę osadniczą żywiły najpierw dwa, potem — siedem hektarów.

A gospodarz powiedział do żony, Sa-biny: jak dzieci będą chciały się uczyć, niech się uczą!

Latwo powiedzieć — niech się uczą. We wsi była tylko mała szkoła, nie było biblioteki, księgarni. Nie było nawet elektryczności, żarówki zabłysły dopie-ro w 1963 roku. Ale magiczny wpływ wieszczka Adama działał i tu, w maleń-kiej Lubiance.

Wykładowca biologii z tytułem dok-torskim (temat doktoratu — mchy i po-rosty Borów Tucholskich), absolwent Uniwersytetu Toruńskiego Ludwik Lip-nicki — profesor Liceum Ogólnokształ-cącego w Drezdenku zwierza się:

— Najpiękniejsze wspomnienie z dzie-cинства, to kiedy my, dzieci, byliśmy już w łóżkach, mama dziergała dla nas swetry, a ojciec przy lampie naftowej czytał na głos Mickiewicza. Wtedy ro-zdziła się w nas chęć poznawania, roz-szerzania wiedzy. A przecież wciąż sta-waliśmy przed koniecznością wyboru: gdy ja i moja kuzynka kopaliśmy je-sienią kartofle, lekcje w siódmej klasie były zawieszane, bo było nas w całej wsi tylko dwoje siedmioklasistów...

I stało się. Wszystkie dzieci Sabiny i Michała Lipnickich mają co najmniej średnie wykształcenie. Najstarsza córka zdobyła zawód pielęgniarstwa, Lucjan, „złota rączka”, opanował kilka zawo-dów od hydraulika do mechanika sa-

MUZA I PŁUG

(Ciąg dalszy ze str. 1)

cloro w lagrze — byłoby krucho ze mną. Więc gdy wzięto mnie za pastora, zgodnie z obrządkiem zęgnalem zmar-łych współwzięźniów. I tak było aż do wyzwolenia przez Amerykanów. Wów-czas wszystkich więźniów skoszarowa-no według narodowości. Znalazłem się wśród 6 tysięcy Polaków. W tym gro-nie szybko skrzyknęli się „artyści” i zmontowaliśmy program artystyczny z tego, co kto pamiętał. Znalazł się aktor z Warszawy, akrobata z Wilna. Ra-zem stworzyliśmy teatr. A widzów mie-liśmy! Każdy był spragniony polskiego słowa.

Ciekawość świata pogałaby pana Mi-chala gdzieś daleko, może do samej Ameryki, jak doradzał współtowarzys-ze wojennej dolii. Ale w rodzinnych stronach została żona z małą córeczką. No i tato przykazywał: pamiętaj synu, najważniejsza jest praca na wła-snej ziemi.

Przez te ziemie i uczyć się nie dał: jak ty pójdziesz do szkół, kto będzie siał i orał? — mawiał, a żadne sprzeciwy nie wchodziły w rachubę. W domu były poza tym tylko dwie siostry, trzeba

było się szykować do roli spadkobiercy i gospodarza. Tak i skończyła się re-gularna edukacja małego Michała na-trzyklasowej szkółce we wsi Półdoroże na Nowogrodzieźnie. I tę szkółkę cu-dem zorganizowano, bo i co to za wieś? Sześć gospodarstw — sami Lipnicy.

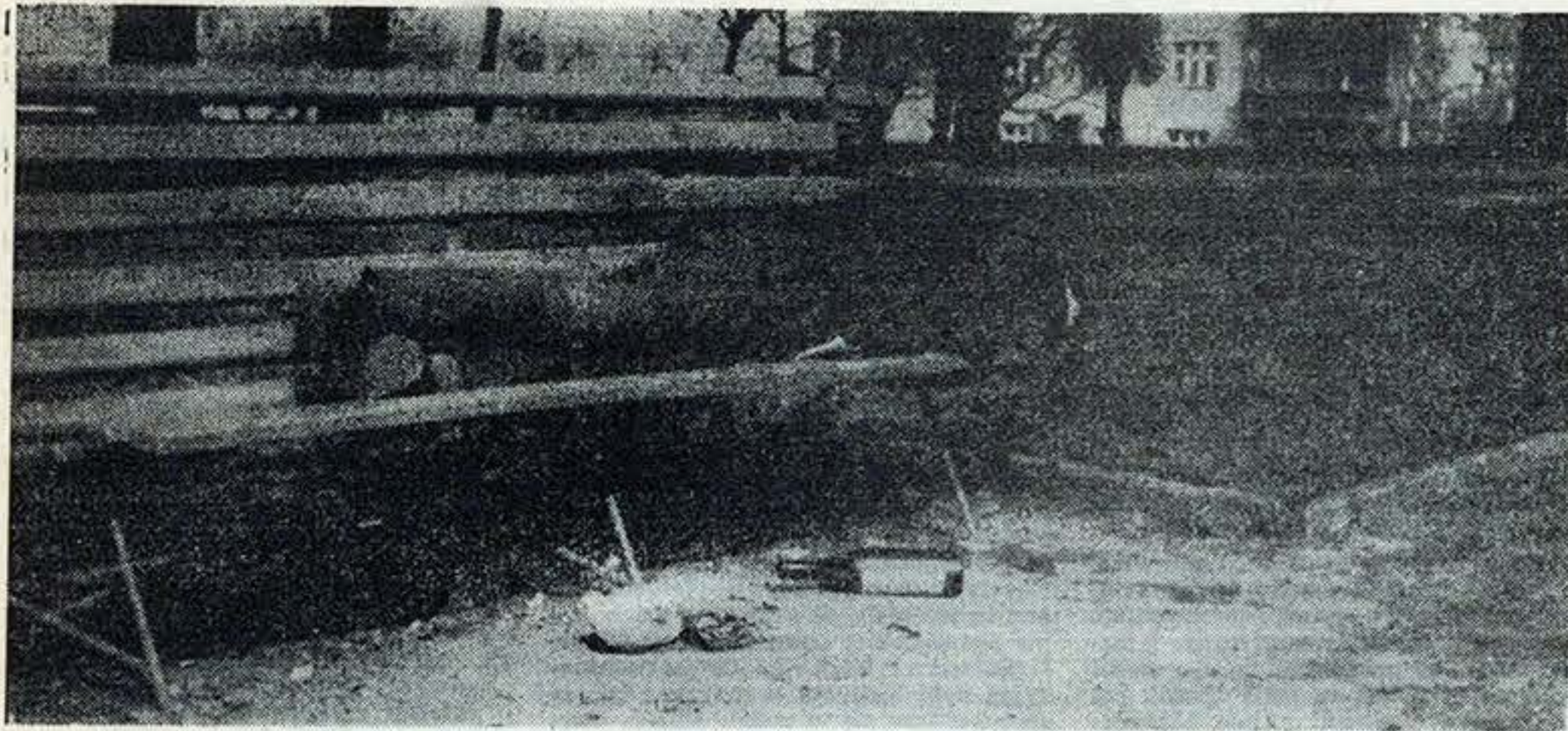
Mała — ale — udała — mówiono. Wiadomo, osada szlachecka, szlachta półdorońska.

— Czym się wyróżniała ta szlachecka osada, czy tym, że jak u Mickiewicza — panny przedły wełnę w rękawicz-kach?

— A tym, że pierwsi wprowadzali-smy nowinki agrotechniczne i ogrodni-cze, no i w domu na półce „Ballady” Mickiewicza leżały... Na tej to książce uczyłem się kochać język polski.

W Półdorożu nie było biblioteki, ale wieś czytała. Do najbliższej wypożyc-załni było drogą ze 30 kilometrów, ale Michał Lipnicki przez Puszcze Nalibor-ską sobie tylko znanymi skrótami z ple-cakiem wypełnionym książkami pie-szo w jeden dzień obracał. Raz tylko z wi-lkami się spotkał, ale poszły swoją dro-gą...

Gdy po wojennej tułaczce szukał swe-go miejsca na Ziemiach Odzyskanych,



W 1982 r. Sejm uchwalił ustawę „O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi”. Dokument ten wraz z pakietem aktów wykonawczych określił zadania dla organów władzy, administracji, oraz instytucji państwowych i społecznych w przeciwdziałaniu najgroźniejszej patologii społecznej w naszym kraju, a ustawa określa cele polityki państwa wobec alkoholu, wyznacza główne kierunki i metody zapobiegania alkoholizmowi, ustala, kto jest odpowiedzialny za realizację jej założeń, normuje zasady postępowania w leczeniu i rehabilitacji osób dotkniętych uzależnieniem alkoholowym.

Pić albo być

USTAWA I ŻYCIE

Lucyna Grabowska

Uchwalając ten dokument, zakładano m.in. następujące efekty:

- zmniejszenie ogólnego spożycia alkoholu, zmianę struktury i sposobu picia
- ochronę dzieci i młodzieży przed skutkami picia
- trzeźwość w miejscu pracy
- leczenie i rehabilitację oparte na zasadzie dobrowolności.

Właściwej realizacji polityki państwa wobec alkoholu miał w myśl ustawy służyć system komisji do spraw przeciwdziałania alkoholizmowi. Na szczeblu centralnym działa Komisja przy Radzie Ministrów, której zadaniem jest ocena realizacji programów wychowania w trzeźwości i przeciwdziałania alkoholizmowi, oraz opiniowanie aktów prawnych. W terenie powołano komisje prowadzące całokształt lokalnej polityki w tym względzie.

Mamy więc od 5 lat ponad niezłą ustawę.

Na drugim biegunie są fakty, przerażające fakty, mówiące o coraz większym pijaństwie, o postępującej degeneracji narodu obejmującej coraz szersze kręgi ludności, szczególnie ludzi młodych.

Według GUS-u spożycie alkoholu 100-procentowego w przeliczeniu na jednego mieszkańca kraju wynosiło: w 1983 r. — 6,2 l, w 1984 r. — 6,3 l, w 1985 r. — 6,8 l, w 1986 r. — 6,9 l. Jest to tzw. spożycie rejestrowane, obliczone na podstawie wielkości zakupów w sklepach i gastronomii. Faktycznie wy pijamy o 20 proc. więcej (wg szacunkowych obliczeń Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej) „bo trzeba tu dodać nielegalną, karaną produkcję bimbru i dozwoloną produkcję wina domowego. Dochodzi do tego alkohol kradziony w toku produkcji w gorzelniach i PP „Polmos” i w toku przerobu w przemyśle chemicznym i farmaceutycznym oraz denaturat i inne płyny wy pijane przez zdegenerowanych alkoholików.

Jeśli zliczymy to wszystko razem, okaże się, że na jednego mieszkańca Polski (łącznie z noworodkami i starszuchami) przypadało w roku 1986 8,5 — 8,6 litra czystego spirytusu, czyli 43 półlitrowe butelki wódki o mocy 40 proc. Gdy odejmiemy z grona pijących niemowlęta, dzieci i młodzież do lat 16, to okaże się, że na każdego dośrodkowego Polaka przypada 57 półlitrowek rocznie.

Na alkohol wydajemy przerażająco dużo pieniędzy. W 1986 r. ludność wydała na ten cel 828,8 miliarda złotych i 131,7 miliona dolarów USA (w „Pewek sie” i „Baltonie”). Pieniądże przepite stanowią 35-40 proc. kwot wydawanych przez statystyczną rodzinę na wyżywienie. Znaczący to, że typowa 4-osobowa rodzina wydaje na wódkę 80-89 tys. zł. rocznie.

Mamy w Polsce około 5 mln. osób nadmiernie pijących, jeden milion to alkoholicy, 4 miliony to pijacy. W większości są to ludzie młodzi: uczący się, pracujący, zakładający rodziny, w wieku 18-30 lat. Pije coraz więcej kobiet. Mówiąc inaczej: jeden pijak albo alkoholik przypada na 7 mieszkańców kraju bez względu na wiek i płeć, albo jest nim co 5 obywatel w grupie wiekowej powyżej 18 lat; albo w przybliżeniu co 3 zatrudniony; albo też co 2 zatrudniony w gospodarce społecznej.

Nieprawdopodobnie duża i coraz większa jest łatwość zakupu alkoholu. W końcu roku 1985 czynnych było prawie 27 tys. punktów z trunkami mocniejszymi i 44.300 punktów serwują-

cych napoje o mocy do 4,5 proc. Ogółem przed trzema laty mieliśmy 71.270 sklepów, lokali gastronomicznych, kiosków, pijalni, itp. z napojami wysoko wymi. Jeden taki punkt przypadał na 523 obywateli i na 4,4 km kwadratowego powierzchni kraju. Żadna inna branża handlowa nie posiada tak zagęszczonej sieci!

Mimo uwag, alarmów, protestów Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego i innych organizacji w roku 1987 zaplanowano zwiększenie punktów sprzedaży napojów o mocy powyżej 4,5 proc. do 29 tysięcy. Alkohol jest i będzie coraz bardziej dostępny.

Nasuwa się retoryczne pytanie: dlaczego jest tak źle, skoro mamy dobrą sejmową ustawę? Można zapytać inaczej: po co i dla kogo jest ustawa, po co i dla kogo plynie coraz szersza rzeka wódki?

Odpowiedź nie jest prosta. Deklaracje walki z alkoholizmem i nawet najlepsze prawa nie załatwiają niczego, jeśli będą one jedynie pozorowały działania.

Otóż zaledwie dwa lata po wprowadzeniu ustawy sejmowej, w roku 1984, znolizowano ją. Zmiana zlagodziła niektóre ograniczenia dostępności alkoholu. Producent i dystrybutorzy trunków potrafili stworzyć skuteczną formę nacisku wbrew opinii licznych organizacji i środowisk walczących na co dzień z pijaństwem.

Okazało się, że ustawa sejmowa jest aktem niedoskonałym i iluzją jest założenie, że uregulowania prawne rozwiążą problem. Wprowadzenie prawa w życie natrafia na różne przeszkody. W praktyce nie widać konsekwencji i jasnej polityki wobec alkoholu. Inercja, niedowład organizacyjny oraz niezrozumienie w terenowych organach administracji zagrożeń dla zdrowia fizycznego i moralnego społeczeństwa oraz gospodarki narodowej, jakie niesie alko-

holizm, są m.in. przyczyną niewielkich efektów w realizacji ustawy.

Na przykład: nie jest realizowane jedno z ważniejszych szczegółowych postanowień mówiące o ograniczeniu wielkości dostaw alkoholu na rynek i kształtowaniu zgodnej z prawem struktury podaży napojów alkoholowych. Widoczna jest tu presja fiskusa i organizacji gospodarczych zainteresowanych wzrostem łatwo osiągalnych dochodów z produkcji i sprzedaży trunków. Zarówno organa finansowe jak i jednostki handlu wewnętrznego preferują sprzedaż wódki. W pierwszym przypadku sprzedaż ta zapewnia wpływy budżetowe, a w drugim zezwala na zapełnienie wszelkich luk towarowych zwiększonymi dostawami alkoholu.

W kraju jest 25 dystrybutorów alkoholu uzyskujących około 25 mld. zł rocznie z tytułu marży. Każdy z nich ma swoje plany sprzedaży i dochodów. Najprościej i najpewniej dochody uzyskuje się dzięki trunkom. To idzie zawsze i wszędzie.

Jeśli alkohol jest w planach jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, to normalną koseją rzeczy dane przedsiębiorstwo będzie się starało za wszelką cenę zwiększyć sprzedaż, udoskonalić technikę, usprawnić dystrybucję.

Jeśli chcemy naprawdę zlikwidować pijaństwo, musimy wprowadzić zasadę: alkohol nie może być traktowany jak każdy inny towar.

Jak to zrobić?

Przed wszystkim trzeba tak przebudować budżet, aby wpływy z produkcji sprzedaży alkoholu nie były planowane, ale traktowane jako swego rodzaju darowizna „rozpitego społeczeństwa” na rzecz budżetu państwa. Być może w tym celu należałoby powołać koncern „produkcja i sprzedaż” wysoce dochodowy. Z tak uzyskiwanych dochodów powinna być finansowana działalność profilaktyczna i leczenia.

Alkohol musi być wyeliminowany z planów zaopatrzenia, a jego sprzedaż skoncentrowana w wyodrębnionym przedsiębiorstwie i zorganizowana tak, by jej wzrost lub spadek nie wpływał na zarobki i inne profity personelu. W takim układzie nie będzie możliwości „łatania” wadliwego zaopatrzenia rynku dostawami alkoholu.

Zasadniczym działaniem powinno być zdecydowane przykreślenie kranu z wódką. Dopiero wtedy będą miały sens inne poczynania: oświatowe, zdrowotne, opiekuńcze. Instytucja, która może to zrobić najszybciej, jest państwo.

Rozmiary i skutki picia osiągnęły stan epidemii.

RATUNKU, TONIEMY!

Halina Ańska

Statystyczny mieszkaniec województwa zielonogórskiego w ciągu trzech kwartałów 1987 roku wydał na alkohol 18.900 zł, o 400 zł więcej, niż statystyczny mieszkaniec kraju. Wszyscy mieszkańcy województwa łącznie, w tym samym czasie wydali na alkohol 11 procent swego ogólnego dochodu, a pół procent więcej, niż społeczeństwo całej Polski.

Od stycznia do listopada 1987 roku handel detaliczny w województwie zielonogórskim uzyskał ze sprzedaży alkoholu 12 miliardów 719 milionów zł, o 124 procent więcej, niż w tym samym czasie roku 1986. Podobnie też wzrosła kwota uzyskana za alkohol przez zielonogórską gastronomię, a wynosząca 3 miliardy 479 milionów zł. Trzeba dodać, że na tak wielkie utargi wpłynęło podwyższenie cen na alkohol. Gastronomia sprzedaje więcej win i piwa, a mniej mocnych wódek, na odwrot niż handel, w którym większe powodzenie mają alkohole 40-procentowe.

W sumie na zakup alkoholu w województwie zielonogórskim w ubiegłym roku (niecałym jeszcze), ludzie wydali ponad 16 miliardów zł.

Wyższe ceny wódek i win nie odstraszają jak dotąd ich amatorów. W spożyciu alkoholu nadal jesteśmy jednymi z najlepszych w Europie, zaś zielonogórzanie znajdują się w czołówce krajowej. Ze gdzieś urządzono wesele bez wódki? Ze gdzieś zorganizowano pikietę, miting, „łańcuch rąk”? Wszystko to krople w morzu. Morzu wody i wina. Pijaństwo dalej trwa i dalej rozwija się choroba społeczna zwana alkoholizmem. Co zrobić?

Przyjrzyjmy się liczbom. W województwie zielonogórskim nadużywa alkoholu prawie 80 tysięcy osób. Około 18 tysięcy rodzin żyje nienormalnie, ponieważ jedno z rodziców, lub oboje stale piją. Dzieci z takich rodzin spotyka się w Pogotowiu Opiekuńczym, w milicyjnej Izbie Zatrzymań, w domach dziecka. Statystyka MO alarmuje. W przestępstwach i wykroczeniach przeciwko prawu, dokonanych w ostatnich latach, systematycznie wzrasta udział nieletnich. Podczas, gdy w 1985 roku wynosił 7 procent, to w rok później już 10.

Dane uzyskane w izbach wytrzeźwień mówią o 54 „gościach” w wieku mniej niż 18 lat, których milicja dostarczyła tu w stanie tzw. upojenia alkoholowego. Z raportów milicyjnych wynika, że co piąty legitymowany nieletni znajdował się pod wpływem alkoholu.

Piją, potem urządzają burdy i bijatyki, w restauracjach, na ulicach, w mieszkaniach. Pijackie awantury w miejscach zamieszkania, to prawdziwy problem. W czasie trzech kwartałów ub. roku milicja w zielonogórskich miastach i wsiach — interweniowała 22.895 razy, właśnie z powodu pijackich rozróbek. Ponad dwa tysiące osób nietrzeźwych doprowadzonych zostało do domów. Prawie siedem tysięcy zatrzymano do wytrzeźwienia.

Kapitan Zbigniew Hulbaj z Wydziału Prewencji WUSW w Zielonej Górze operuje wskaźnikami. Wnioskuje z nich, że na każde sto przestępstw, około trzydziestu popełniają ludzie nietrzeźwi. — Należy przyjąć — mówi — że sprawcą co trzeciego przestępstwa w województwie jest osoba pozostająca pod wpływem alkoholu. Wskaźnik powyższy wzrasta w kategoriach takich, jak zabójstwo, gwałt i pobicie — i wynosi od 55 do 88 procent.

Od początku stycznia ub. roku do końca listopada, 22 procent ogólnej liczby wypadków drogowych na terenie województwa spowodowały osoby nietrzeźwe: ponad 13 procent kierowcy, prawie 9 procent piesi.

W trzech kwartałach ub. roku milicja ujawniła 3.996 osób, które popełniły wykroczenia po pijanemu. W tej liczbie znajdują się 376 osób, które pozostawały pijane w czasie pracy oraz 2.751 osób, które po spożyciu alkoholu prowadziły samochody, motocykle i rowery.

Niedawno przed sądem w Gubinie stanął kierownik magazynów zbożowych z pobliskiej wsi, za picie wódki podczas pełnienia obowiązków służbowych. Za pijaństwo w zakładzie pracy pracownik odpowiada przed kolegium, natomiast kierownik przed sądem.

W przyspieszonym trybie sąd ukarał pracownika Elektrociepłowni, który będąc na dyżurze jako palacz, pił wódkę w kotłowni. Przypadek picia alkoholu w warunkach stwarzających zagrożenie, także podlega sądom.

Na pytanie — co robią władze w tej sprawie, częściową odpowiedzią była zorganizowana w dniach 10—19 grudnia 1987 roku akcja pod hasłem „Nietrzeźwość przeszkadza w życiu i pracy”. Statystyka milicyjna z tych dni jest szczególnie smutna. Ujawniono zostały 242 wykroczenia spowodowane przez ludzi pijanych. Przyłapano 48 pijanych kierowców i 73 osoby pijane w miejscach pracy.

Akcja nie była utajona, przeciwnie, zapowiadano ją wcześniej, toteż wzmożone patrole milicyjne nie mogły być dla nikogo niespodzianką. Mimo to wykryto aż 38 nieznanych dotychczas melin pijackich. Do domów odprowadzono 130 osób pijanych, 139 osób trafiło do izb wytrzeźwień, natomiast 140 osób wyładowało w aresztach, mając na sumieniach przestępstwa. W 91 interwencjach stwierdzono zagrożenie morderstwa i zdrowotne dzieci.

Sklepy monopolowe nie narzekają na brak klientów. Zawsze stoją kolejki po alkohol. Łatwość w jego zakupowaniu, pomimo podwyższonych cen, powinna — jak się wydaje — powstrzymać produkcję bimbru. I tak się też po części dzieje. Ale bimbrownie są nadal — i funkcjonują. W okresie trzech kwartałów ub. roku milicja zlikwidowała w województwie zielonogórskim 36 takich gorzelni.

We wsi Czarna we wrześniu ub. r. znaleziono w pewnym domu całą aparaturę do wyrobu bimbru. Właściciel ukarany został rokiem więzienia i wysoką grzywną. W październiku ub. r. w Radnicy zatrzymano producenta bimbru i zarekwirowano aparaturę wraz z zacierem. Wyrok brzmiał podobnie.

Produkcja bimbru była bardziej opłacalna, gdy alkohol sprzedawano w sklepach na kartki. Wtedy domowych gorzelni było więcej. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby, jak chcą podobno niektórzy, ogłoszono prohibicję!

Bimbrowni jest mniej, bo proceder ten nie tylko jest mniej opłacalny, niż kiedyś, ale też grozi za jego uprawianie wyższa kara. Za to zaczyna się na nowo pokątny handel alkoholem monopolowym. W ciągu trzech kwartałów, jak podaje kapitan Hulbaj, milicja w województwie zielonogórskim zlikwidowała 130 melin.

W Zaganiu m.in. handlowała wódką pewna emerytka, zadając 1200 zł i więcej, za butelkę. W Gozdnicy sprzedająca wódkę trudniła się pewien człowiek, który już poprzednio został za to samo ukarany. Teraz kara łączna wyniosła rok więzienia i sto tysięcy zł grzywny.

Wśród danych statystycznych, obrazujących pijaństwo w województwie zielonogórskim znajduje się czarna zapiska: na ogólną liczbę 60 samobójstw popełnionych w ubiegłym roku, 23 osoby pozbawiły się życia w wyniku nadmiernego spożycia alkoholu lub będąc pod jego działaniem. W Izbie Wytrzeźwień w Raculi jest kartoteka, z której odczytać można przyczynę: zapił się na śmierć. Albo: został przejechany. Albo: powiesił się. Wszyscy ci, którzy w ten sposób zostali z życia, byli stałymi klientami Raculi.

Akcje, wzmożone działania, sobotnio-niedzielne patrole. Wołania nawiedzonych działaczy. Pokazowe wiece, mitingi. Przychodnie odwykowe, w których obecnie zarejestrowanych jest tylko w Zielonogórskim 4.200 osób. Kluby Anonimowych Alkoholików i Anonimowych Abstynentów. Próby psychoterapii. Pomoc rodzinom zagrożonym alkoholizmem prowadzona przez Społeczne Komitety Przeciwalkoholowe. Tysiące, miliony złotych wydawane na broszury, ulotki, filmy i inne sposoby nieustających działań uświadamiających. System pochwał i kar. Towarzystwo Trzeźwości i Transportowców. Znaczkę z krokiem, zgađuj-zgađule. Wreszcie Ustawa! — i związane z nią działania ogórne oraz oddolne.

Wszystko to na razie nie daje większych rezultatów. Machina przeciwalkoholowa — sobie. A alkoholizm — sobie. Plynie, jak plynęła wielka rzeka wódki, z fabryk monopolowych, poprzez sklepy, knajpy i meliny, wprost do mieszkań, do rodzin. Toną w niej dorobki i dzieci. Narastają tragedie. Co robić?

— Nie ustawać, robić swoje, wymyślać sposoby, aż obudzi się świadomość w społeczeństwie — mówi kapitan Hulbaj. Tymczasem i Ty odstaw ten kiełbasek. Nie kupuj wódki. Nie pij i nie namawiaj innych.



RY. J. PUCHALSKI

Opowiadanie

GOŁĘBNIK

Mieczysław Warszawski

Nad gąszczem zakisłych ruder góruje strzeliste odachowanie. Spod obwisłego dachu widać mroczne okienko, wokół którego przenikliwe wrzeszczy, bije skrzydłami i tokuje ptactwo. Jakby nad gołębnikiem. O jednym otworze. Stamtąd wygląda troje ludzi: mężczyzna, kobieta i dziecko. Ja jestem dzieckiem. Mężczyzna moim ojcem, a kobieta... No, właśnie. Mama coś zagaduje do trzeszczącej we wszystkich stawach postaci, która kroczy po zagraconym, wysłanym kruszącym się łupkiem podwórzu. Ta chuda jak szczapa postać to nie strach na owe ptactwo, lecz właścicielka posiadłości, którą zamieszkiwaliśmy. Gołębie krążyły nad dachami domów. Słychać było gwizdy gołębiarzy. Zawsza. Nieskończony ciąg domów. Mieszkamy na poddaszu. Nadal. — Bądź cicho! — mówi kobieta, która jest moją matką. — Bądź cicho, tam przysiadł ptak! — Ptak siedzi na parapecie za oknem. Kobieta przysięga mi do siebie. Jej ciało jest lepkie, spocone. Wyczuwam jej zapach. I zapach ptaków. Gru-uchu, gru-uchu... — Twój ojciec go schwytł — mówi. Wpatruje się w tego ptaka; gołąb stuka dziobem o drewniany parapet. Coś we mnie w środku także wali i wali. Gołąb jest obrócony. Wydawał się być oswiały i jakby pogodzony ze swoim losem. Nie wyrwał się i nie ruszał wcale. Pod upierzeniem miał kute rany. Przysiadł co chwile oczy, jakby zapadał lekko w sen. Lekko drżał. Białe błony powiek przesłaniały oczy małe i błyszczące jak dwa paciorki. Naraz gołąb zatrząsnął postrzępionymi skrzydłami i wyrwał się wprost pod nadciągające go jastrzębia. W powietrzu się zakotłowało. Opadały pióra. — Bądź cicho! — mówi mężczyzna, który jest moim ojcem. — Bądź cicho, kupię całe stado gołębi! — Płacz ustaje. — Nie żał mi tego ptaka, którego już nie ma — mówi. Mówię to przez łzy.

Wiekosz ludzi stoi albo siedzi przeważnie przy szeroko otwartym oknie spędzając bez żadnego pożytku czas na podglądaniu innych i czekając na to, że marna spadnie im z nieba. Tak wielokrotnie mówiła matka, odąd kuracja ojca wydawała się nie mieć końca. Prawą nogę nadal miał uszytnioną. Na poddaszu zawsze był przewiew i zapach skisłego powietrza. Po dachu tupali gołębie. Słychać było uporczywe trzepotanie skrzydeł, których odgłos dolatywał z dala. Wiele pozostawało mu siedzieć owe ptasie zabiegi.

Białe stada szybowyły nad dachami. Ojciec z uporem wabił gołębie na parapet okna, rzucając kaszę i groch. One w zamian przysiadły w locie słupkami. Wydawał się być oswiały i jakby pogodzony ze swoim losem. Nie wyrwał się i nie ruszał wcale. Pod upierzeniem miał kute rany. Przysiadł co chwile oczy, jakby zapadał lekko w sen. Lekko drżał. Białe błony powiek przesłaniały oczy małe i błyszczące jak dwa paciorki. Naraz gołąb zatrząsnął postrzępionymi skrzydłami i wyrwał się wprost pod nadciągające go jastrzębia. W powietrzu się zakotłowało. Opadały pióra. — Bądź cicho! — mówi mężczyzna, który jest moim ojcem. — Bądź cicho, kupię całe stado gołębi! — Płacz ustaje. — Nie żał mi tego ptaka, którego już nie ma — mówi. Mówię to przez łzy.

Ojciec przyłmował to z przynurzeniem oka. Wówczas mniej czasu poświęcał gołębikom. Ograniczył się jedynie do karmienia. Na oblatywanie było jeszcze za wcześnie. Zbyt dostojeśnie trzymał się reguły: dobru gołębiarzu nigdy wiatr nie zawlece gołębi. Dlatego postanowił odremontować na szcze mieszkalne poddasze. Nie było już nawet czym oddychać. Do gardła wlewał się kurz. Z każdego okienka, każdej szpary oddychaliśmy tylko tym kurzem, kurzem rudery. Powietrze suche, prawie pozbawione banieczek tlenu, cedziliśmy przez zęby, aż swiszczało. To wyschnięty na wior grzyb domowy rozkładał się. Niedługo biały kolor pokrył seledyn. Wdowie nie przypadła do gustu ta renowacja. Pokój stał się jeszcze mniejszy. Klika a nie łba mieszkalka, ostrzyła matkę. Na swój sposób pomagała ojcu jak gdyby był dorosłym mężczyzną.

Inteligentne dziecko, mówił sąsiedzi i niechętni znajomi, którym moje psoty nie zawsze przypadły do gustu ale co mieli powiedzieć, gdy domownicy jedynie tego od nich oczekiwali. Nie więcej. Na dowód tego zadawałem wiele pytań, pytań mniej więcej w tym rodzaju: dlaczego nie dzieje się tak jak u gołębi, które swe małe zaraz po wykluciu z jaj, uczą latać, hopsa i już ich nie ma. U ludzi trwa to zbyt długo, to bycie dzieckiem. Tak długo, że nawet dorosłym nie starcza cierpliwości, którzy wszystko robią, żeby dziecku nie było załować i dlatego nigdy nie prosiłem matki ani ojca, aby sobie zaprzątnęli głowy wymyślaniem bzdurnych bajek, którymi inni swe dzieci karmili na każde zawołanie.

Ojciec mawiał: — Mój syn musi być silny. — Nie wiem, może nie było to wcale zamierzone. Wówczas prowadził mnie do gołębnika. — Wybierz któregoś na rosół — mówił. Gołębie ufnie lgnęły do rąk. — No, wybierz — oglił. Ostrożnie uchylał klapy i wkładał do środka rękę. Po pobieżnej emulacji ścianie przesunął się trzepoczący cień. Jego ptasi lebek wkrótce został ukrecony mocnymi, żyłastymi palcami ojca. Później zasiadłem do stołu nad talerzem z rosolem, na który jednak nie miałem apetytu. Ojciec musiał zapewne to zauważyć, gdyż udawał, że niegdy nie dostrzeża. Po obiedzie głośno mi uspokajając po policzku. Natomiast ja czulem smak i zapach tego delikatnego, choć bardzo tłustego, treściwego jedzenia. Kilka/krotnie wymiotowałem. Matka mówiła: — Co z nim począć? Nawet rosolu nie chce jeść. — Z wyrzutem patrzyłem na ojca, jak obliżuje sobie pale po tym sułym jedzeniu. Przekonywał: — Musisz jeść, Piotrze. Piłkarz musi jeść. — Nigdy nie chciałem być kopaczem piłki. Nawet nożnej. Miałem już dość rosolów z mięsa gołębiowego, których ojciec nie szczędził, widząc jak nabieram siły i coraz częściej ptakom ukręcał łby. Gołębie bezwiednie zwisały u jego rąk. Jednakże ta cotygodniowa selekcja wśród stada nie zmniejszała ilości łajna, które nawarstwiło się na podłodze gołębnika oraz pod okapem dachu. I ciągle ten niełowny zapach roznosił się na poddaszu, a w którym o nas powoli zapominali wszyscy.

Nawet działacze sportowi zapadli się pod ziemię. Prasa lokalna rozniecała temat, że kontuzja, którą ojciec odniósł podczas pamiętnego meczu piłki nożnej w rozgrywkach o mistrzostwo ligi, to zwykła symulacja.

— Tak, Kobus się skończył. Wszem i wobec głoszone. Ojciec powoli odchodził na boczny tor, więc po co takiemu obiecywane niedługo mieszkanie.

Pewnej wiosny wdowa wymówiła to mieszkanie. Na poddaszu. Bez pieca. Decyzję uzasadniła tym, że nie może nawet przejść przez podwórze, gdyż wszędzie walały się twarde, matowe i przypominające wapno grudki. Jednakże, kiedy ojciec zeskrobał łopatą ptasie ekskrementy i wyniósł kilkomna wiadrami na ogród pod warzywa, wdowa zmieniła zdanie, żądając jedynie podwyższenia komornego, ponieważ dzierżawiliśmy większy metraż niż to było uzgodnione poprzednio. No, pewno miała na myśli gołębnik, który ojciec postawił własnoręcznie. Kategorycznie żądała osiemset złotych. Za stół pośrodku. W głębi okno. Obok łóżko. Blżej drzwi szafa. No, i oczywiście, ilość osób się zwiększyła, bowiem przybyłem ja. Piotr. A ptaki jakby za namową gzybielatek wdowy coraz częściej poczęły przepadać w locie. Stojąc, wsparty na palcach przy oknie, widziałem dworzec kolejowy, wagony, komin rzeźni i dym, który się unosił, ostry i gryzący, ogródki działkowe i drewniane altany, dalek boisko, obok nadbudówkę, w której niechętnie już ptactwo przeraźliwie wrzeszczało, biło skrzydłami, tupotało, tokowało gruchając...

— Jesteś absolwentem Wydziału Matematycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Czy potrafisz określić początek swojej drogi do zajęcia się kinem?

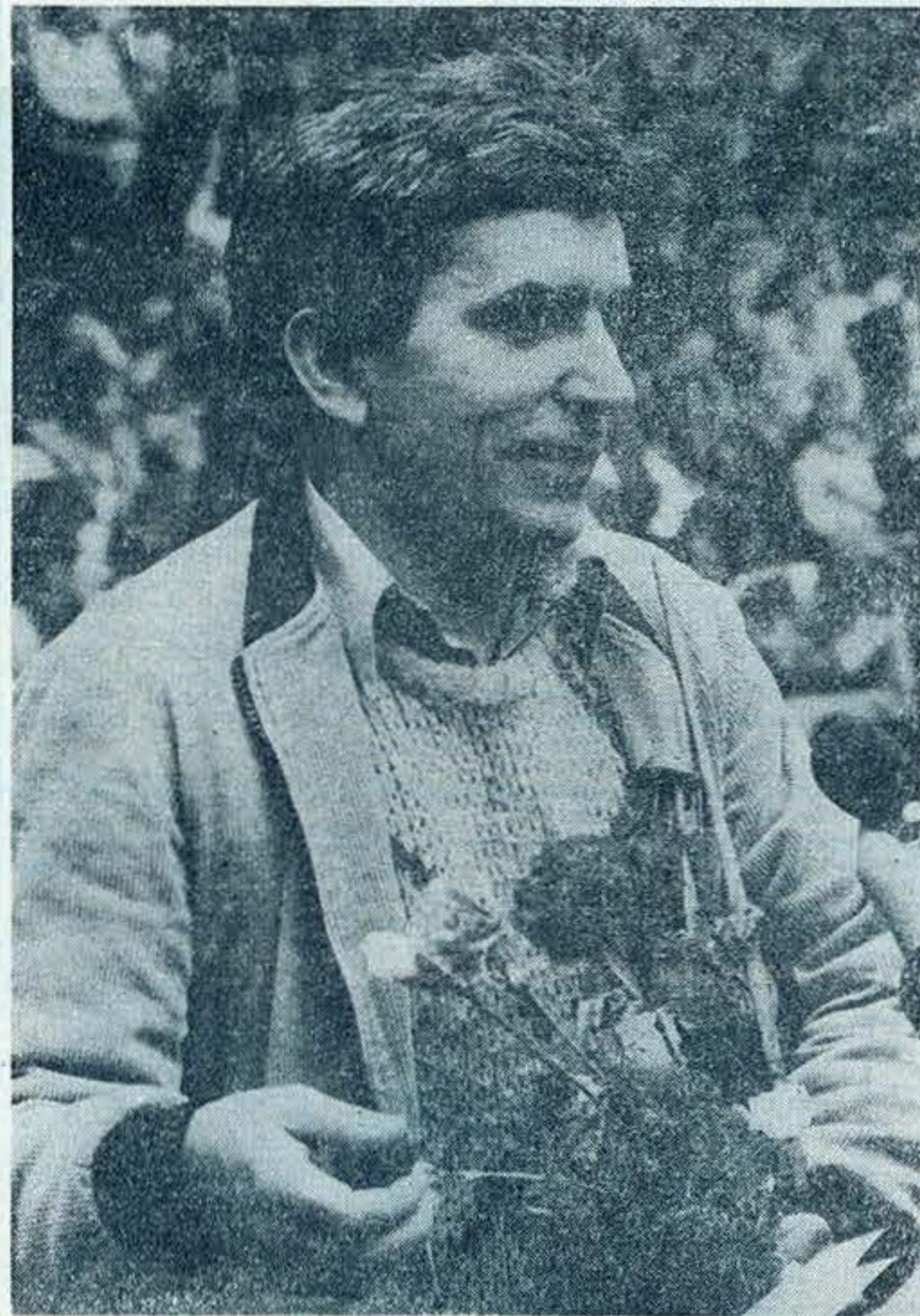
— Początki są bardzo odległe i romantyczne, rzekłbym nawet sentymentalne. Na podwórku mojej szkoły podstawowej Tadeusz Chmielewski kreślił film „Ewa chce spać”, a później Andrzej Wajda „Popiół i diament”. Wtedy przylgnąłem do pracy na planie filmowym. Pamiętam, że siedząc w ławce szkolnej cały czas myślałem, jakby się wymyślić i znaleźć w tłumie gapiów. Kiedy tylko nadarzyła się sposobność, biegłem tam, obserwowałem pracę reżysera, operatora, w ogóle całej ekipy filmowej. I zupełnie poddałem się urokowi tego świata muzycznego, bajkowego. Miałem wówczas 9 lat.

W liceum uczęszczałem do pierwszej w Polsce klasy o profilu ściśle matematycznym. Więc wybór przyszłych studiów był niejako automatyczny. I może zabrzmi to paradoksalnie, ale studia matematyczne też w jakiś sposób pomogły mi w myśleniu o kinie. Matematyka nie jest tylko czystą teorią. To nauka, która rozbudza wyobraźnię, u-wrażliwia na przestrzeń. Pamiętam, że jeszcze w szkole, na zastępczej lekcji wyświetlano nam „Popiół i diament”, którego powstawania byłem przecież świadkiem. I wtedy pomyślałem, że może będę robił filmy, że tę matematykę w końcu zdradzę. Kiedy rozpocząłem studia uniwersyteckie, myślałem już bardzo precyzyjnie o drodze do zawodu.



WEJŚCIE

Rozmowa z Wiesławem Saniewskim



Fot. TOMASZ GAWALKIEWICZ

Pisałem recenzje, reportaże, chodziłem na wybrane zajęcia z historii sztuki, na kompozycję w Państwowej Wyższej Szkole Plastycznej. Należałem też do wrocławskiego AKF-u „Ośmiu i pół”, gdzie realizowaliśmy film pod tytułem „Wielki świat”, za który otrzymałem I nagrodę na festiwalu filmów studentów w Katowicach. „Wielki świat” był adaptacją opowiadania Alberta Moravii pt. „Zapach kości”. Myślę, że pełna świadomość potrzeby całkowitego zajęcia się kinem pojawiła się gdzieś na trzecim roku studiów, wtedy matematyka wydała się nie odpowiadać mojej motoryczności, mentalności, okazała się dla mnie zbyt statyczna.

— Potem zaczęłaś pisać profesjonalnie. Twoje dziennikarskie zainteresowania osiedlały wokół tematyki filmowej. Byłeś szefem działu filmowych w miesięcznikach „Opole” i „Odra”. Wydałeś dwa zbiory felietonów filmowych — „Niewinność utracona w kinie” i „Wróćcie do kina”. W 1975 roku zostałeś laureatem nagrody im. Karola Irzykowskiego.

— Krytyka filmowa pozwalała mi się dokształcać, poszerzała moje spojrzenie na film. Oglądałem filmy w kraju i za granicą. Często jako juror FIPRESCI.

To zobowiązywało. A nagrodę im. Karola Irzykowskiego otrzymałem za felietony filmowe drukowane w „Opolu” i „Odrze”. Próbowałem też sam pisać scenariusze i pracowałem jako asystent reżysera.

— Już jako autor scenariuszy, krytyk i dziennikarz z ciekawym dorobkiem, zdecydowałeś się zostać słuchaczem studiów scenariuszowych przy łódzkiej PWSFTiit.

— Jak już wspominałem, moje myślenie o zawodzie od początku było bardzo świadome. Nieoczekiwanie idea powołania studium wydała mi się na tyle interesująca, że postanowiłem spróbować swoich sił. Liczyłem również na ugruntowanie rzemiosła. Chciałem po prostu gromadzić aktywa. Studium, raczej niedoceniane, stało się dla mnie niezwykle ważnym doświadczeniem. Miałem to szczęście, że znalazłem się w grupie prowadzonej przez Andrzeja Wajdę i Bolesława Michałka. Grupa seminaryjna była nieliczna, a bywało i tak, że spotykaliśmy się w gronie trzech, czterech osób. To pomagało specyficznie intymności zajęć. Poza sprawami czysto profesjonalnymi, jak analiza filmów od strony warsztatu, techniki, rozmawialiśmy również o relacjach reżyser-scenarzysta, o roli ich wzajemnej współpracy, o kontakcie z aktorem. Więcej jak by równocześnie dotykaliśmy najdelikatniejszej struny zawodu — warstwy psychologicznej. Często były to rozmowy ostre, pełne sporów dotyczących, na

— Rzeczywiście, w świecie reguła jest taka, że film robi się bez szkoły filmowej. U nas obowiązują inne zasady. I chociaż może zabrzmi to dziwnie, przystępując do realizacji swoich dwóch filmów, nie miałem większych trudności. W dużej mierze pomógł mi doświadczenie zdobyte na planach filmowych.

— Przepraszam. Pozwól, że w tym miejscu przypomnę czytelnikom twoją asystenturę przy filmie „Poza układem”, zrealizowanym w 1977 roku według twojego scenariusza. Byłeś II reżyserem filmu „Bo oszalałem dla niej”, zrealizowanego w 1980 roku. O „Dyrygencie” i „Dreszczach” już wspominałeś.

— Poza wszystkim miałem również referencje od Wojciecha Marczewskiego i Aleksandra Scibora-Rylskiego. Od tego ostatniego zwłaszcza przy moim pierwszym filmie, robionym dla telewizji, „Wolny strzelec”. W przypadku „Nadzoru” spodobał się scenariusz, no i miałem za sobą wspomniany wyżej film telewizyjny.

— Tak, ale propozycja realizacji „Wolnego strzelca” padła zdaje się dość nieoczekiwanie?

— Istotnie. Propozycja debiutu telewizyjnego była pewną niespodzianką. Scenariusz bowiem napisałem znacznie wcześniej, ale przeleżał się on dość długo w telewizji, do września 1980 roku. Nie ukrywam, że bardzo pomógł mi czas „Solidarności”. Kiedyś zatelefonował do mnie Aleksander Scibor-Rylski. Był zainteresowany pomysłem, powiedział, że podoba mu się scenariusz. Tekst został skierowany do zespołu „Silesia”. Kierownikiem artystycznym zespołu był wtedy Ernest Bryll. Zaakceptował scenariusz i w 1981 roku doszło do realizacji. Film skoładowałem tuż przed stanem wojennym.

— A jak było z debiutem kinowym?

— W 1979 roku zadzwonił do mnie z tym pomysłem Andrzej Zajączkowski. Zbierając materiał do filmu dokumentalnego o więziennictwie, natknął się na historię kobiety, która w latach sześćdziesiątych została skazana na dożywocie. Był to temat na tyle ważny, że Zajączkowski myślał, komu by go zaproponować. Rozmawiał z Agnieszka Holland, która poleciła mi, sądząc, że jest to temat jakby dla mnie. Z początku nie chciałem się zgodzić. Lękałem się pojęcia w zbyt sentymentalizm i rzewność, grożące w próbie opowiedzi o tej bohaterce. Jednak po namyśle zdecydowałem się napisać nowelę. Mimo, iż Zajączkowski zebrał dość znaczną dokumentację, uznałem, że muszę sam zgłębić problem więziennictwa, zrozumieć istotę procesu resocjalizacji w zakładach karnych. Zainteresował mnie problem podejmowania decyzji o urodzeniu dziecka, kiedy jest się po tamtej stronie krat. Zaczęłem odwiedzać zakłady karne, rozmawiałem z wychowawcami więziennymi, z byłymi więźniarkami. Wreszcie napisałem nowelę. W 1980 roku powstał scenariusz, który złożyłem w „Silesii”. Po 13 grudnia zespół już nie interesował się nim. Wreszcie w połowie 1982 roku Studio Filmowe im. Karola Irzykowskiego odkupiło scenariusz. Tekst spodobał się Radzie Artystycznej. Pamiętam, że trwał wówczas bojkot radia i telewizji przez środowiska twórcze. Miałem więc do wyboru najlepszych aktorów, którzy łaknęli ciekawych propozycji. W październiku 1982 roku dostaliśmy zgodę na zdjęcia w więzieniu. Bojąc się, że zgodę mogą nam cofnąć, musiałem wykonać jak najwięcej zdjęć, aby uwiarygodnić realia filmowej opowieści o Klarze. Dlatego filmowałem spacerniki, korytarze więzienne, robiliśmy możliwe fragmenty scen w warunkach prawdziwego więzienia. Ale znakomitą większość kręciliśmy już w warunkach studiów.

— Czy zgodzisz się, że twój reporterski dorobek, jesteś przecież autorem znacznego zbioru reportaży „Pierwszy stopień do piekła”, wpłynął na twoje filmy, które zrealizowane przez ciebie filmy świadczą o uwrażliwieniu na sprawy i dramaty ludzkie, o wyczuwaniu na problemy naszego czasu. A to jest postawa dość odległa od tego, co nasza krytyka zwykła nazywać kinem kraczyjnym, przywołując w takich razach filmy klasa, Bajona itd.

— Myślę, że nie. Nasza krytyka często popierała zasadniczy błąd. Otóż filmy, których akcja toczy się w realiach odległych od dnia dzisiejszego, postępującego rekwizytem, kostiumem, włączając najczęściej w pojęcie: kino kraczyjne. Myślę, że jest inaczej. Jeżeli przywołamy na przykład filmy Wajdy, to penetrujemy naszą współczesność, zauważamy, że wynika z nich coś więcej niż ilustracja tej współczesności. Coś więcej niż tylko przypowieść o naszym czasie. Jeżeli z opisu rzeczywistości wyłania to „coś więcej”, co można by nazwać swoistą atmosferą, jest to już kreacja.

Wracając do mnie, chcę robić filmy, które będą zrozumiałe. Szukam kontaktu z widzem. Ale nie za wszelką cenę. Interesuje mnie film psychologiczny, osadzający się na emocjach, relacjach między ludźmi. Nie chcę realizować tematu narzuconego. Interesuje mnie po prostu człowiek. A jeżeli wyniknie z tego jakaś metafora...

Rozmawiała: DŻAMILA ANKIEWICZ

PS. Reżyser Wiesław Saniewski został na niedawnym Zjeździe Stowarzyszenia Filmowców Polskich wybrany wiceprezesa Stowarzyszenia.

Sceny miłosne w literaturze pięknej

czym uśmiechu Madonny widzimy, jak dusza zalewa psychikę. Księżyc twarzą jasnieje pełnią, równanie zostaje spełnione. Minutę, pół godziny, sekundę później cud przyska. Coś niedotykającego, coś niewyjaśnionego już przeszło i zostało przyjęte. Może zdarzyć się w życiu ludzkiej istoty, że księżyc nigdy nie osiągnie pełni. W rzeczy samej, w przypadku losów życiowych niektórych ludzi możemy przypuszczać, iż przeżywają wyłączenie nieprzerwane zaćmienia. W przypadku ludzi zarazonych geniuszem, bez względu na to, jaką formę przybierze, przetrząsa nas niemal nieustannie poczucie i chudnięcie księżyca. Jakże rzadko jeszcze zdarzają się ci niezwykle ludzie, którzy osiągnąwszy pełnię, tak są przerażeni jej cudownością, że spędzają resztę życia starając się

że są niezwykle, zaczęła się nad nimi rozwodzić. Pewnego dnia, opowiadając jeden z jej snów Kronskeimu, udając, że to mój własny sen i udając, że wpadł mi w zakłopotanie, usłyszałem zdumiony: — Nie w tym oryginalnego, panie Miller. Chce mnie pan nabrać?

— Nabrać? — powtórzyłem z nie udawanym zdumieniem.

— Może pisarzowi to się wydaje oryginalne — parsknął pogardliwie. — Ale psycholog wie, że to zmyslenie. Nie daje się wymyślać snów tak, jak się wymyśla opowiadania. Sny mają swoje cechy autentyczności, podobnie jak opowiadania.

Pozwoliłem, by rozłożył sen na czynniki pierwsze i żeby mi zamknął usta, przyznałem, że cały sen zmysliłem. Parę dni później, spacerując w bibliotece dra Onirificka, natrafiłem na dęty tom poświęcony depersonalizacji. Przerzucając kartki znalazłem kopertę z moim adresem i nazwiskiem. Był to tylko strzępek koperty, jej rewersu, ale charakter pisma był niewątpliwie mój. Istniało tylko jedno wyjaśnienie, fragment koperty pozostał w Moni.

Strony, przez które przemknął jak mrówkojad, poświęcone były marzeniom sennym zapisanym przez psychiatrów. Sny przypominały sny na jawie somnambulika z rozszczepieniem osobowości. Czytałem o nich mając poczucie, że już je znam. Rozpoznawałem tylko fragmenty.

Ostatecznie pograżyłem się tak dalece w lekturze, że sporządziłem notatki tych fragmentów, które rozpoznawałem. W swoim czasie stwierdziłem, skąd się wzięła reszta. Przetraszałem sporo książek, szukając zakładek, ale żadnych nie znalazłem.

Zrozumiałem jednak, na czym polega jej chwyt. Wyszukiwała tylko najbardziej dramatyczne fragmenty, a potem łączyła je ze sobą. Nie przeszkadzało jej to, że jeden sen należał do szesnastoletniej kobiety, a drugi do mężczyzny narkomana.

Wydawało mi się, że to dobry pomysł, żeby świstek koperty przełożyć na inne miejsce w książce, nim ją odda na półkę.

Pół godziny później wpadłem na jeszcze lepszy pomysł. Zdjąłem książkę z półki, spojrzawszy na notatki i starannie podkreśliłem fragmenty, z których dokonała plagiatu. Zdawałem sobie oczywiście sprawę z tego, że być może nie usłyszę od niej prawdy jeszcze przez wiele lat — a może i nigdy. Ale mogłem czekać.

Nadeszła Inna, niespokojna myśl. Jeśli zmyślała swoje życie sennie, to co wiem o jej życiu na jawie? Gdybym zaczął śledzić jej przeszłość... Potworne rozmiary tego zadania wystarczyły, by mnie odwieść od wszelkich związków z tym po sunięm. Ale zawsze można było nadstawić uszu. Nie była to wesoła myśl. Nie można przejść przez życie mając stale czujnie nastawione uszy. Ledwo się uspokoiłem tym stwierdzeniem, kiedy przypomniałem sobie, jak zlekceważyła pewien temat. To dziwne, jak łatwo sprawiła, że zapomniałem o tym drobiazgu. Wypierając myśl, że to jej matka ujrzała na podwórku, gdy po raz pierwszy odwiedziłem jej dom rodzinny, zręcznie usiłując moje podejrzenia rozwodzić się z udaną szczerością nad cechami i nawykami kobiety, którą uznałem za jej matkę, a która, jak twierdziła, musiała być jej ciotką. Był to tak typowy chwyt kłamców, że sam się na siebie rozgniewałem za łatwowierność. Tu przynajmniej miałem coś, co mogłem w najbliższej przyszłości zbadać. Byłem tak pewien, że mam rację, iż prawie zdecydowałem się pominąć mechaniczną czynność po twierdzeniu moich podejrzeń. Lepiej będzie, mówiłem sobie, jeszcze tam nie iść, ale wciągnąć ją zreczynnymi słowy w pułapkę. Gdyby mi się udało zakładać słowne pułapki, mógłbym sobie zaoszczędzić biegania.

Doszedłem do wniosku, że najważniejsze było nie dać poznać po sobie, że odkryłem jej kłamstwo. Dlaczego najważniejsze? — spytałem natychmiast sam siebie. Żeby rozkoszować się odkryciem? — spytałem natychmiast sam siebie. Czy to była przyjemność? A potem przyszło mi do głowy jeszcze inne pytanie. Jeśli ktoś się ożenił z pijacką, to czy powinien udawać, że alkoholizm jest niegroźny? Czy ma zachowywać pozor, że wszystko jest w jak najlepszym porządku tylko po to, żeby badać wpływ tej właśnie wady na osobę, którą kocha?

Jeżeli wzbudzenie niezdrowej ciekawości mogło mieć jakiegokolwiek uzasadnienie, to należało spytać o rzecz najistotniejszą — dlaczego tak wyzywałem kłamca. Skutki tego schorzenia nie były jeszcze dla mnie jasne. Po niewielkim namyśle powinienem być natychmiast wpadł na to, że podstawowym i najbardziej katastrofalnym skutkiem jest alienacja. Szok wykrzyka, który towarzyszy obnażeniu pierwszego kłamstwa, ma prawie takie same zarysy uczuciowe, jak szok towarzyszący przekonaniu się, że mamy do czynienia z osobnikiem obłąkanym. Zdrada, lęk przed zdradą, mają swoje korzenie w powszechnym lęku przed utratą osobowości. Ludzkość potrzebuje wala zabawne wiele czasu, by prawda wzniósł się na tak wysoki poziom, by stała się, że tak powiem, osi osobowości. Aspekt moralny był uboczny, stanowił przykrywkę głębszego, na polu zapomnianego celu. Że historia miała być opowieścią, kłamstwem i historią w jednej postaci to pomysły nie do pogardzenia. A że opowieść, uznawana jako wymysł twórczego artysty, ma być uważana za najbardziej podatny grunt dla gromadzenia prawdziwych spostrzeżeń o jej autorze, to rzecz także istotna. Kłamstwa mogą być zakorzenione wyłącznie w prawdzie. Nie istnieją oddzielnie. Żyją w symbiozie z prawdą. Dobrze kłamstwo ujawnia więcej niż prawda może kiedykolwiek ujawnić. To znaczy ujawnia temu, kto szuka prawdy. Taki człowiek nie znajduje powodów do gniewu lub zemsoty, gdyż natychmiast kłamstwo. Nie boli go też, bo kłamstwo jest oczywiste, nagie i wiele mówiące.

Zdumiałam mnie, jak głęboko się zapuściłem przybawczy filozoficzny dystans. Zapisalem sobie, żeby raz jeszcze oddać się eksperymentalnie takim doświadczeniom. Może okaza się owocne.

(Fragmenty prozy Henry Millera pt. „Sexus”, w przekładzie Sławomira Magali, publikujemy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 5-6 z 1987 r.)

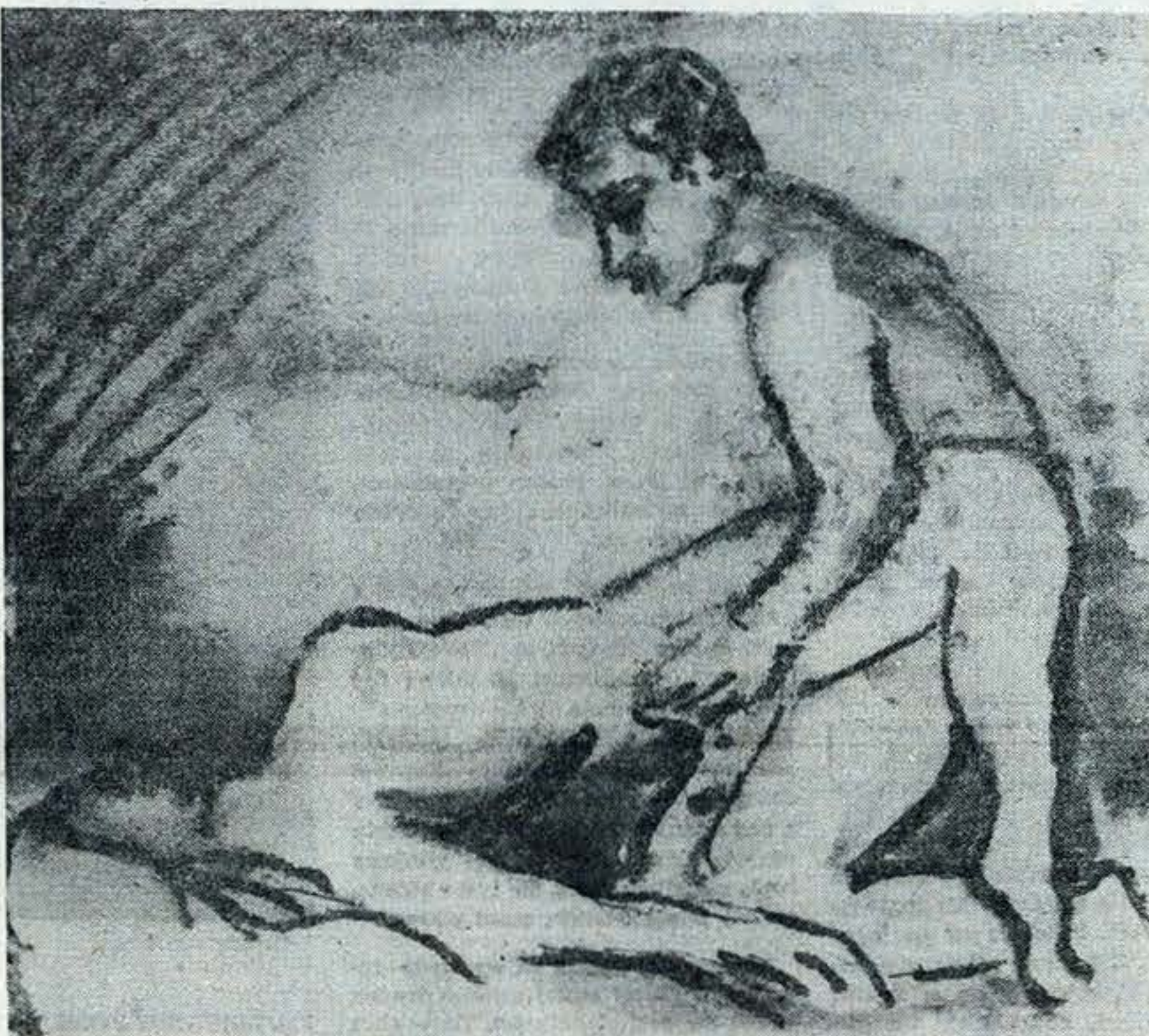
Nie, nie miałem zamiaru wdawać się w takie skomplikowane rozważania. Zamknąłem oczy, by się znów pograżyć w jasnym nurcie rwącym całym czasem nieczym srebrzystą nitką. W jakiejś spekulacyjnej części mojego ja spoczywała rozbudzona przez Monę legenda. Było w niej drzewo, jak w Biblii, a pod drzewem stała kobieta imieniem Ewa z jabłkiem w ręku. Nurt był prosty i jasny, wszystko to składało się na moje życie. Oto uczucie, od brzegu do brzegu.

Do czego to ja doszedłem — tu, gdzie podziemny strumień płynął jasnym nurtem? Skąd ten obraz Drzewa Życia? Dlaczego tak upojnie było znów skosztować zatrutego jabłka, kłecząc błagalnie u stóp kobiety z Biblii? Dlaczego uśmiech Mony Lizy był najbardziej tajemniczym wyrazem ludzkiej twarzy? I dlaczego przenoszę ten renesansowy uśmiech na wargi Ewy, którą znam tylko z rymy?

Coś kołatało na krańcach pamięci, jakiś zagadkowy uśmiech wyrażający melancholię, błogość, stan, dobroczynność. Ale truciźna też była obecna, wydestylowana w oparach unoszących się z

SEXUS

Henry Miller



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

tego uśmiechu. Połknąłem tę truciznę, co zatario wspomnienia. Był taki dzień gdy zgodziłem się na coś w zamian za coś innego: od tego dnia datuje się dziwne rozwidlenie.

Na próżno przetrząsałem umysł. Zdołałem przypomnieć sobie tylko tyle. Pewnego dnia wiosną spotkałem ją w Salii Różanej dużego hotelu. Umościła się tam ze mną, żeby mi pokazać sukienkę, jaką kupiła. Przyszedłem za wcześnie i po paru chwilach niecierpliwego oczekiwania wpadłem w trans. Oprzytomiałem dopiero na dźwięk jej głosu. Wypowiedziała moje imię, a jej głos przeszył mnie jak dym gazy. Wyglądała cudownie, nagle pojawiwszy się przed moimi oczami. Wciąż jeszcze przytomniałem. Gdy ona siadła, ja wstałem powoli, jak we mgle, kłękając u jej stóp i mamrotałem coś o jej promiennym urodzie. Przez parę minut nie próbowałem mnie podnieść. Trzymała moje ręce w swoich i uśmiechała się do mnie, obfitym promiennym uśmiechem, który się rozprzestrzeniał jak poświata, a potem znika, by nigdy się już nie pojawić. Był to seraficzny uśmiech pokoju i błogosławieństwa. Zostałem nim obdarzony w miejscu publicznym, w którym znaleźliśmy się sami. Był sakramentem, a pora, dzień, miejsce, zostały zaznaczone złotymi literami w księdze legend, którą leżała u stóp Drzewa Życia. Od tej pory my, którzyśmy się złączyli, zostaliśmy dodatkową połączonymi przez niewidzialną istotę. Nigdy już nie mieliśmy być sami. Nigdy już nie miał nadejść ten szep, ta ostałość — może dopiero w chwili śmierci. Coś zostało dane, coś otrzymane. Przez parę bezczelnych chwil staliśmy u wrót raju — potem nas przegnano, a gwieździsta promiennosc rozpadła się na kawałki. Znikła rozpadając się na wszystkie strony języki błyskawicy.

Istnieje teoria, że gdy planeta, jak na przykład nasza ziemia, przejawia już wszelkie formy życia, gdy się spełniła do wyczerpania, kruszy się na kawałki i rozprasza jak gwiazdny pył po całym wszechświecie. Nie obraca się dalej, jak martwy księżyc lecz wybuchu i po paru minutach nie widać już na niebiosach jej śladu. Z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w życiu. Zwiemy to implozją. Jeśli plaż przyzywa jony do mrocznych głębin wypłyne powyżej pewnego poziomu, jeśli zniknie ciśnienie, do jakiego się przyzwyczaili, ciało wybuchu do środka. Czyż nie znamy podobnego widowiska w przypadku istot ludzkich? Ludzie północy, którzy wpadali w błąd, Malajczycy, którzy szaleją — czyż nie mamy tu do czynienia z eksplozją i implozją? Gdy czarna się przepiełni, przelewa się. Ale jeśli czarna i jej zawartość są jednym i tym samym, to co wtedy?

Są chwile, w których eklektyczna przepiętna nas tak dalece, iż dusza przelewa się. W serafii-

Uwaga Curleya nadal mi dokuczała. Kronskei zachował się tak cudownie — jakby ją kochał! Dlaczego zawsze podniecała mnie myśl o tym, że ktoś ją kocha? Bardzo chętnie odczułbym zazdrość, gdybym mógł ujrzyć tę siłę, dzięki której zmuszała ludzi, by ją kochali. Mój ideał — jego sformułowanie było dla mnie szokiem — stanowiła kobieta, której świat kładł się do stóp. Jeśli sądziłem, że istnieją mężczyźni odporni na jej wdzięki, byłem w stanie pomóc jej ich usidlić. Im więcej kochanków zbierała, tym większy mój osobisty tryumf. Ponieważ to mnie kochała, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Czyż nie wybrała mnie spośród innych, mnie, który tak niewiele mógł jej oferować?

Byłem słaby, powiedziała Curleyowi. Tak, ale ona też. Byłem słaby, jeśli chodzi o kobiety w ogóle, ona była słaba wobec kochanego. Chciała, żeby moja miłość skupiała się tylko na niej, nawet w myślach.

Rzecz ciekawa, zaczynałem faktycznie się na niej skupiać, na mój słaby sposób. Gdyby nie zwróciła mojej uwagi na swoją słabość, byłbym ją sam odkrył, po każdym nowym wydarzeniu, że istnieje dla mnie tylko jedna osoba na świecie, właśnie ona. Ale teraz, dramatycznie przywoławszy jej słabość, skazany byłem na świadomość władzy, jaką mam nad nią, co mogło mnie pokusić do jej okazania, nawet wbrew sobie.

Gwałtownie odepchnąłem takie myśli. Nie tak miało być, wcale nie tak. Kochałem tylko ją, wyłączenie ją i nie na świecie nie mogło mnie od niej odwieść.

Zacząłem rozpamiętywać ewolucję tej miłości. Ewolucję? Nie było żadnej ewolucji. Była momentalna. Cóż, zdumiało mnie, że i ten dowód przywołuję; nawet okoliczność, że moim pierwszym odruchem był gest odrzucenia, stanowiła dowód, że rozpoznałem siłę tego przyciągania. Powiedziałem jej „nie” instynktownie ze strachu. Jeszcze raz przebiegłem myślami tę scenę na dansingu, tamtego wieczoru, kiedy porzuciłem moje dotychczasowe życie. Podchodziła ku mnie, od środka parkietu. Rzuciłem szybko spojrzenie na boki, nie wierząc własnym oczom, że właśnie mnie wybrała. I wpadłem w panikę, choć pragnąłem rzucić się jej w ramiona. Czyż nie pokręciłem głową? Nie! Nie! Niemal obraził. Zarazem zdjął mnie strach, obawa, że jeśli nawet będę stał na wieki w tym samym miejscu, nie rzuci już na mnie okiem. Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że jej pragnę, że zacząć się za nią uganiać bez chwili wytchnienia, nawet jeśli uzna, że nie jej po mnie. Odszedłem od barierki i poszedłem do rogu na papierosa. Dygotałem od stóp do głów. Stałem plecami do parkietu, nie śmiąc na nią spojrzeć. Już zazdrośny, zazdrośny o tego, kogo przypadkiem wybrała jako drugiego partnera...

(Cudownie było przypominać sobie takie chwile. Boże, znów czulem...)

Po chwili wziąłem się w garść i wróciłem na parkiet, poszturchiwany ze wszystkich stron przez wygłodzone wilki. Tańczyła parę razy pod rząd z tym samym mężczyzną. Nie przytulona, jak inne dziewczyny, ale lekko, patrząc mężczyźnie w twarz, śmiejąc się, uśmiechając, rozmawiając. Była rzecz jasną, że nie dla niej nie znacze.

Potem przyszła kolej na mnie. A więc jednak zaczęła mnie zauważać! Wydawało się, że nie jestem jej niemiły, przeciwnie, robiła wszystko, żeby mi było przyjemnie. I tak w omdleniu, pozwoleń, by obtańczyła ze mną cały parkiet. I znów, i znów i znów i nawet zanim jeszcze ośmieliłem się wciągnąć ją w rozmowę, już byłem pewien, że nie wyjdę bez niej.

Tańczyliśmy, tańczyliśmy, a kiedy zmęczyl nas taniec, siadywali w rogu i rozmawialiśmy, a za każdą minutę, którą przetańczyłem lub przegadałem, zegar wyciskał mi dolary i centy. Jakże bogaty byłem tego wieczoru! Jak rozkosznie oddała się banknot po banknocie bez ustanku! Zachowywałem się jak milioner, bo byłem milionerem. Po raz pierwszy w życiu widziałem, jak czuje się człowiek bogaty, mogąc, radząc, maharadzą. Oddawałem własną duszę — nie w zastaw, jak Faust, ale w spontanicznym odruchu.

Prowadziłem dziwną rozmowę o Strindbergu, która miała się przewijać przez nasze życie nieczym srebrzystą nitką. Zawsze nosiłem się z zamiarem ponownej lektury *Panny Julii*, z powodu tego, co powiedziałem tamtego wieczoru, ale nigdy tego nie zrobiłem i pewnie nigdy nie zrobię.

Potem czekałem na nią na ulicy, na Broadwayu, a gdy podeszła do mnie po raz drugi, posiadła mnie całkowicie. W knajpie, u China Lee, stała się kimś jeszcze innym. Stała się — tu krył się sekret jej nieodpartego uroku — stała się niedopowiedziana.

Nie tak to wówczas ujmowałem wobec samego siebie, siedząc tam i na oślep brodząc przez dym jej stów, ale wiedziałem, że rzucę się jak wariat na każdą lukę w jej opowieści. Przecież pajączkowe zbyt delikatną, zbyt zwinną, by utrzymać ciężar moich dociekliwych myśli. Inna kobieta zachowywała się w ten sposób rozbudziłaby moje podejrzenia. Nazwałbym ją zrezygnowaną kłamczuchą. Ta nie kłamała. Haftowała. Robiła na drutach i raz po raz gubiła oczko. (...)

Nagle napadła mnie żalonna myśl. Niebezpieczeństwo ze strony Carruthersa minęło. Pomógł jej. Inni też jej przedtem niewątpliwie pomagali... Ale myśli była następująca: gdybym tego wieczoru nie przyszedł na dansing z plikiem banknotów w kieszeni, gdyby mi starczyło na prostą na parę tańców, to co? A pomijając już tę pierwszą uroczystą okazję, co by się stało na tym pustym parkingu? (Rozszekubany dalej...) Gdybym ją wtedy zawiódł? Ale właśnie w tym sek, że nie mogłem jej zawieść. Musiała sobie z tego zdać sprawę, bo nigdy by tego nie ryzykowała.

Zimnokrwista uczciwość zmuszała mnie jednak, bym przyznał, że tych parę cudownych snów, które udało mi się przepuścić w stosownej chwili, odegrało istotną rolę. Pomogły jej uwierzyć, że można na mnie polegać.

Znów położyłem przed sobą nie zapisaną kartkę. Do diabła, gdyby przesłuchiwać Los w ten sposób, wszystko można wyjaśnić tym, co się zjadło na śniadanie. Opatrzność kładzie na twe drodze okazje: można je tłumaczyć jako pieniadze, szczęście, młodość, witalność, tysiące różnych rzeczy. Jeśli nie ma przyciągania, nie nie wyjdzie nawet z najdogodniejszej okazji. To dlatego że wszystko byłem gotów dla niej uczynić, tyle okazji nagłe było mi dany. Pieniądże, do diabła! Pieniądże nie miały z tym nie wspólnego. Taka zawistość, obłędność i pieniężność, jak w definicji historii napotkanej w bibliotece dra Onirificka: „Niewłaściwa przepuszczalność diafragmy psychicznej”.



POEZJA AMATORSKA

W Bibliotece Literackiej Gorzowskiego Towarzystwa Kultury ukazało się wiele wartościowych publikacji. W ten sposób Towarzystwo przyczynia się do inicjowania miejscowego życia literackiego. Toteż trzeba takim poczynaniom tylko przyklasnąć. Tym bardziej, że literatura w Gorzowie ciągle jakby nie potrafiła rozwinąć się w takim stopniu, aby możliwe było, na przykład, utworzenie oddziału ZLP.

Być może, nawet rzecz nie w tym akurat, aby taki oddział powstał. Na pewno jednak powinno, wszystkim założyć, aby każda publikacja była wartościowa, spełniając określone wymogi artystyczne. Ostatecznie produkcja książki jest bardzo kosztowna. A poza tym nie każde czyjeś hobby musi dostępować zaszczytu upowszechnienia. Od wymogów artystycznych nie da się odejść, przy poważnym traktowaniu literatury. Tymczasem trzymam właśnie w ręku zbiorek dwóch poetyzujących pań, związanych organizacyjnie z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury w Gorzowie — Eugenii Modelewskiej i Józefy Pawłowskiej, zatytułowany „Wiersze” i mam wrażenie, że nie zawsze o tych wymogach się pamięta.

Publikację jednak wydano. Żeby było bardzo interesująco, wiersze jednej z autorek są drukowane z przodu książki, a drugiej — powiadamy — Józefy Pawłowskiej od tyłu. Ponadto, żeby było sprawiedliwie, każda prezentowana jest równą ilością tekstów (po jedenaście). Nie mam w gruncie rzeczy pretensji do wspólnego tytułu i wspólnego druku. Takie praktyki mają miejsce, chociaż nie lubię odwracania i przewracania książki podczas lektury. Poza tym tomik „Wiersze” jest wydany bardzo pięknie. Zawiera fotografie autorek, noty biograficzne, ilustrowany jest subtelnymi rysunkami Romany Kaszycz, które głównie decydują o jego walorach.

Wątpliwości pojawiają się, gdy stwierdzimy, że „Słowo wstępne” Mieczysława Miszkina, w takim samym brzmieniu, przedrukowano dwa razy. Aż się prosi, by były to dwa różne teksty, poświęcone dwóm różnym osobom. Z tego pomysłu jednak redaktor tomu nie skorzystał. W gruncie rzeczy ograniczył się do kilku bardzo ogólnych sformułowań. Owszem prawdą jest, że zawsze jakieś przeżycia muszą stać u podstaw uprawiania twórczości, ale o tym autorka musi nas w wierszu poinformować (choćby przez odwołanie się do mitologii pokolenia, itp.). W innym bowiem przypadku decydujemy się na czystej wody mniemanologii. To, co sądzimy o wierszu, musi z niego wynikać, a nie z naszej wiedzy prywatnej, pozatekstowej. Toteż nie zastanawiałbym się nad tym, na ile „przeżycia” wpłynęły na tonację liryczną.

Co można z całą pewnością o wspomnianych autorkach powiedzieć? Na pewno to, że Modelewska opisuje problemy osobiste, związane z przemianami uczuć i egzystencji, a Pawłowska eksponuje zagadnienia pracy na grządkach i w zakładach pracy, przy maszynach, która niekiedy zniewala jej osobowość.

Z jedną konstatacją autora wstępu muszę się zgodzić w pełni. Rzeczywiście utwory te „nie są pozbawione pewnych słabości i niedoskonałości. Brak im nieraz zaowodowej poprawy i rutyny w ujęciu czy metaforyzacji...”. Mieszkin nacisk zdaje się kłaść na słowo „nieraz”, jakby tylko niektóre utwory budziły jego redaktorskie wątpliwości. Mnie osobiście nie zdołał zadowolić niemal żaden z wierszy. Nie dlatego bym był zapatrzony w mistyków, ale dlatego, że są to utwory o banalnej problematyce, wytartych porównaniach i skojarzeniach, czy wręcz topornych konstrukcjach językowych, i o ubogiej sferze refleksji.

Rozumiem, że obie autorki poezją z jakiejś wewnętrznej potrzeby. I ja tę potrzebę szanuję. Jednak, jeśli zostaje podjęta decyzja o publicznym zastąpieniu, to pod warunkiem spełnienia odpowiednich kryteriów. Sztampa, konwencjonalność nie mogą być oceniane jako zalety. I do obowiązku krytyki należy uchwytnie takich mankamentów. Inaczej całe to moje pisanie nie miałoby żadnego sensu.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Eugenii Modelewskiej, Józefy Pawłowskiej: Wiersze. Wstęp i redakcja: Mieczysław Miszkin. Biblioteka Literacka. Gorzowskie Towarzystwo Kultury. Gorzów 1987, s. 32.

Oto dziś, gdy animatorzy kultury uprawiają ekwilibrystykę, aby pozyskać słuchaczy i widzów, często kokietując także tanią sensacją, kolejną wystawą Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego nawet tego rodzaju sensacji nie wywołają. Wśród zainteresowanych fotografacją krąży opinia, że LTF śpi, choć wystawia. Przypada jednak trzeba, iż ubiegłoroczna prezentacja pozwalała



Bez sensacji

mieć nadzieję na korzystne zmiany. Wówczas ujawniło się paru nowych, młodych autorów, a bardziej doświadczeni fotograficy też zaprezentowali się ciekawiej.

Na tegoroczną pokonkursową wystawę złożyło się prawie 100 fotografii (ze 100 przedstawionych jury), 12 autorów. Tematy i ich realizacja — zróżnicowane, a ogólny poziom wystawy — średni, jeśli przyjąć ambitniejszą miarę.

Fotografie przedstawiały typowe dla tego rodzaju ekspozycji portrety dzieci, dziewczyn, nadmorskie pejzaże, architekturę, wypoczynek. A więc treści neutralne i wieczne aktualne, niestety, z paroma wyjątkami potraktowane stereotypowo.

Trzech autorów (może wspólny plener?) zaciękawionych zabytkową płasko rzeźbą, także z cmentarnych nagrobków, próbowało ożywić kamienne postaci, z różnym skutkiem wykorzystując słoneczne światło. Ktoś zauważył piękno w masztowcach wylaniających się z mroku. Inny doszukiwał się piękna w figuracji składowanych beczek. Stara lokomotywa, która zaurczyła Bronisław Bugiel, tylko na dwóch z sześciu fotografii była ciężką od smaru, żelazną machiną. Na pozostałych zaś — jak by z drewna. Ponadto zestaw ten stracił na wartości, poprzez przypadkowy dobór zdjęć, nie precyzujący dostatecznie myśli twórcy.

Kilka prac wprawdzie nie zmuszało do refleksji, ale oglądanie ich sprawiało przyjemność. Podobała mi się jedna z fotografii Zbigniewa Pietraszkiewicza pt. „Szyk”, kojarząca się ze sztuką pop (reprodukcja obok). Piotr Węclawski

skłonił do zainteresowania serią graficznych portretów dziewczyny w okularach pt. „Przeobrażenie II”, podobnie jak rok temu w Kunicach Zarskich. Tu jednak korzystnie zmniejszył serię do trzech fotografii. Drugi, także bardzo spójny jego zestaw to wyreżyserowana krótka impresja o dziewczynie i kieliszku z winem. Prace Węclawskiego, przejrzyste i zwężone

w wymowie, sprawiały odczucie, że fotografowanie i także psychiczny wysiłek temu towarzyszący jest dla autora wspaniałą zabawą.

Natomiast Ryszarda Poprawskiego (III nagroda) zafascynowały fragmenty architektury, struktura betonowych piaseczyn, konfiguracja geometrycznych brył, światła i cienia. Dzięki tiolowemu, sądu, delikatnemu tonowaniu, jego beton uzyskał plastyczną delikatność, a fotografie stały się malarską abstrakcją.

Technicznemu zabiegowi obróbki tonu jaśniej poddał fotografie także dwaj inni autorzy: wspomniany już Bronisław Bugiel (w zestawie „Anielskie wdzięki” (płaskorzeźby nagrobkowe: dyplom LTF) oraz Mariusz Kalinowski. W efekcie jedynie ubarwiło to wystawę.

Wyróżniała się też „Przystań” (II nagroda) Zbigniewa Szczęsnego. Autorowi udało się ją sfotografować w warunkach na tyle korzystnych, że efekt mógł być tylko jeden: odrealnienie, właściwe surrealizmowi, dające odczucie sennego marzenia.

Warto wspomnieć jeszcze o jednej z dwóch powtarzających się prawie prac, przez to przegadanych, pt. „Szalejący reporterzy” (wyróżnienie) Zbigniewa Rajche, który podobnie jak wspomniany Zbigniew Pietraszkiewicz w fotografii „Bar zaprasza” (wyróżnienie) dostrzegł dowcip sytuacyjny. Lecz „Pozdrowienia z nad morza” drugiego z nich, przedstawiające śniętą rybę i toporny tytułowy napis na zdjęciu, razi nie tylko kiczem, ale też nieznaną zasadą pisowni.

Nieciekawie wypadł na wystawie reportaż, w rzeczy samej gatunek trudny nawet dla profesjonalistów. Tu — obra

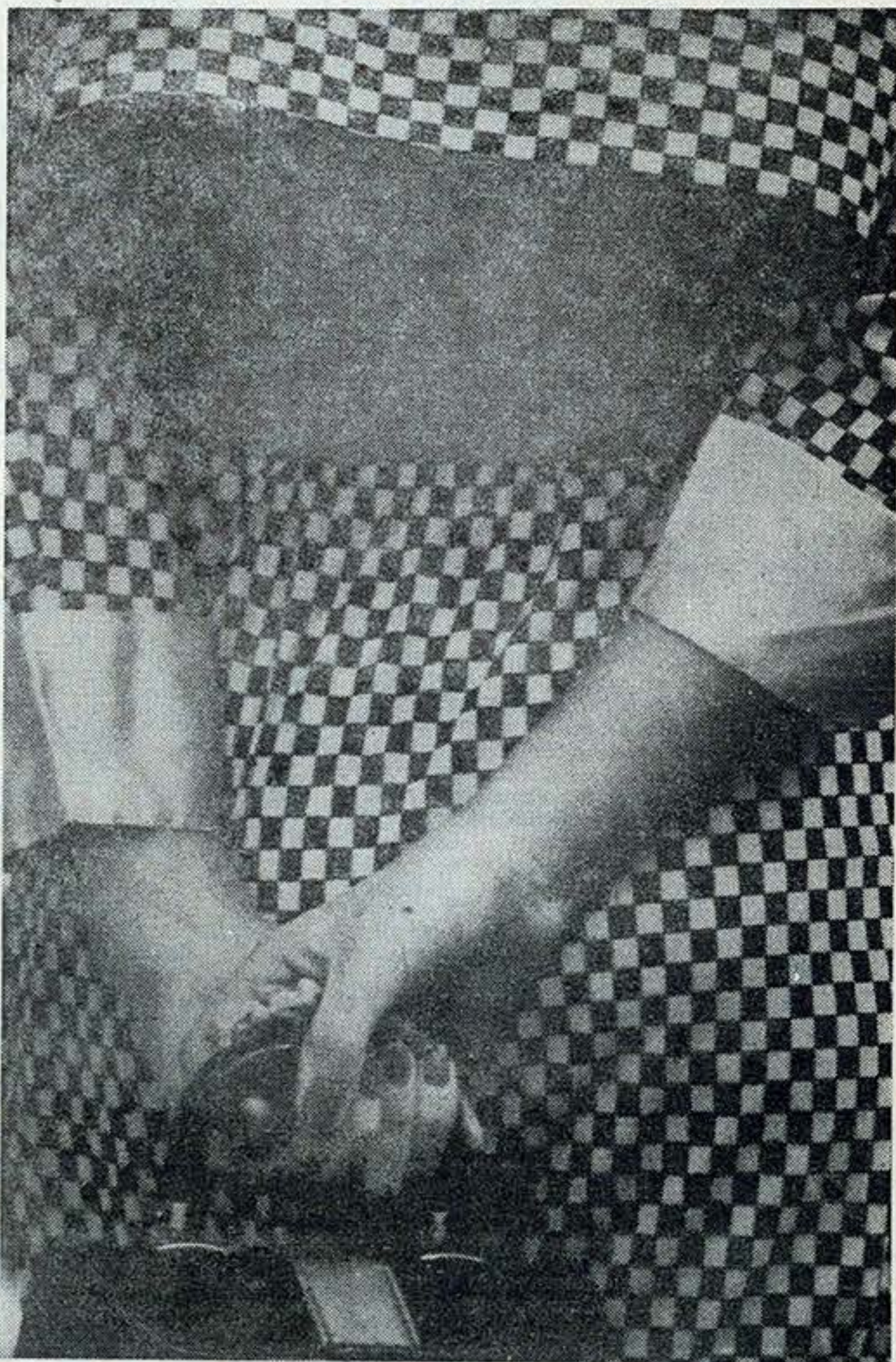
zający sentymentalizm, błogi spokój i brak ekspresji.

Wystawa sprawiała wrażenie oddalonej od rzeczywistości. Mieć aparat w ręku i dostrzegać tylko zbanalizowane uroki — to chyba niewiele. Przecież towarzystwo fotograficzne, czy tego chcą, czy nie, nie mogą zajmować się jedynie rejestrowaniem piękna, które w efekcie nie dla wszystkich piękno oznacza. Dla czego młodzi unikają dociekliwości? Dlaczego boją się drapieżności, fotografii interwencyjnej i socjologicznej? Co zostawia po sobie, gdy za kilkadziesiąt lat zmęczą się nie osiągnięty technicznej perfekcji? Czy dziś wystarczy po-

wiedzieć, „fotografia to nasze hobby” i kontynuować wzajemną adorację?

ELŻBIETA LEŃSKA

Wernisaż odbył się 4 stycznia 1988 r. w zielonogórskim Klubie MPiK. Jury nie przyznało nagrody, oprócz zaznaczonych w tekście pozostałe nagrody otrzymali: II — Radosław Kłosiński — „Przed rejsem”; „Stare mury”; III — Mirosław Krzyżanowski — „Zachód słońca”; „Nad Bałtykiem”; dyplom LTF — Paweł Janczaruk za pracę „Dziewczynka, gołąb i wróbel”. Nagrody ufundował Wyd. al Kultury i Sztuki UM w Zielonej Górze.



Fot. ZBIGNIEW PIETRASZKIEWICZ — „SZYK”



Ubu, gdzie jesteś?

Widz wchodzący do sali od strony lewej potyka się o otwarty sedes, od prawej ociera o wiszące na sznurze lachy. Dalej wzrok jego pada na stół pośrodku, taborety i kubek ze ścierką. Jest też okno, symbolicznie oddzielające dwa światy, z poduszką na parapecie i kwiatkiem.

Prawdziwie działające gospodarstwo państwa Ubu rozpocziera się na całej przestrzeni między ławkami, od ścian do ścian. Ubu i Ubica żyją sobie więc o krok od widowni. Z niej zresztą wychodzą, co także jest podtekstem. Piszę — także, albowiem od podtekstów i aluzji w przedstawieniu tym aż się roi.

Sztuka Alfreda Jarry'ego „Ubu-król” jest strasznym i obrazoburczym syzydem z historią, obśmiewającym bez li tości wielkie autorytety, strącającym z piedestałów spławowe postacie, a z głów ko.ony. Bez litości i bez sensu. Jest to bowiem teatr fikcji i absurdu.

Stanisław Hebanowski napisał w Tygodniku Zachodnim, w 1958 roku, co pozwalał sobie przytoczyć za „programem” wydrukowanym z okazji zielonogórskiej premiery, że wystawienie „Ubu-króla” w paryskim teatrze

„L'Ouvre” przed 92 laty stało się skandalem. „Już pierwsze słowo jakie padło ze sceny, było wyzwaniem, rzuconym statecznym, paryskim mieszcuchom”.

W przekładzie Tadeusza Boy'a-Zeleńskiego słowo to, złagodne zgłoska „r”, brzmni „grówno” i nikogo nie obraża. Statecznych mieszcuchów podobno u nas już nie ma (podczas spektaklu, na którym byłem, widownia składała się z uczennic i uczniów szkół medycznych), a w teatrze, kinie i telewizji padają czasem słowa mniej cenzuralne.

„Cholera grówniana, grówno cholera” — komentuje rzeczywistość monsieur Ubu i drapie się po brzuchu przez dziurawą koszulę. „Grówniana kobieta” — dodaje spoglądając na rozczochraną połowicę i jej poskręcane na łydkaś pończochy.

Przyjemny żywot tej odrażającej i niechlujnej pary nagle się odmienna. Spiskowcy dowodzeni przez groteskowego jednorękiego rotnistrza Bardiora obalają króla — i nowym władcą zostaje Ubu.

Kim jest Ubu? Anarchista? Zwolennikiem totalnej negacji ogólnie uznanych wartości? Marionetką kierowaną przez jakiegoś siły, zmierzającą do określonego celu? Nie. Jest miernotą, głupcem i butnym brutalnym, wyniesionym na tron przez ślepotę losu. Przypomina się kariera Nikodema Dyzmy. Nasuwa się też więcej podobieństw do brzesznych z historii. Przed laty w jednym z przedstawień warszawskich, Ubu miał postać Hitlera.

„Dlaczego słuszne prawo ma być wazniejsze, niż niesłuszne? — rozumuje Ubu. „Najpierw zreformuję sprawiedliwość” — postanawia i ogłasza wyroki. Rotmistrza Bardiora, ponieważ zrobił swoje i przestał być potrzebny, wtrąca do lochu. Rodzinę królewską usmierca. Pozbywa się szlachty i bankierów, a ich pieniądze zagarnia.

„Można być królem, ale trzeba być oszczędnym” — mówi Ubu i wyprawia się do królewskich grobowców, które bez skrupułów świętokradczo ogolają z klejnotów.

Sztuka odbierana jest jako farsa, publiczność śmieje się zdrowo — i o taką reakcję chodzi zarówno autorowi, jak i realizatorowi. Prześmiewcze intencje Jarry'ego zresztą i dokładnie przebiega na język polski, znakomicie odczy-

tał reżyser Wiesław Górski. Toteż docierają do widza ostro, przebijając się przez, nie zawsze do końca czytelną, warstwę surrealistyczną.

Oto wojna jako super-groteska Król Ubu w papierowym hełmie, ze sznurkiem papieru toaletowego na ramieniu, dowodzi bitwą z wysokości stołu. Stamtąd wygłasza absurdalne rozkazy i za myśli taktyczne. „Szabo grówniana, pełnij swą powinność!” — woła zuchwale. Gdy okazuje się, że wojnę przegrał, oświadcza po prostu: „Zrobiłem w majki”.

Wielka różnorodność postaci! Popisy gry aktorskiej! Zdziśława Grudnia w kilku rolach, Wiesława Motka jako Byczysława, Romana Garbowskiego jako faworyta Ubicy, Jerzego Balbuzy, Henryka Tomczyka! Zabawne sceny zbiorowe!

Wychodząc z teatru pamięta się pompatyczną i żalosną zarazem postać króla Waclawa, którą ciekawie i z francuskim wdziękiem tworzy Michał Świątała oraz carski majestat w baraniej czapce czyli Leszka Polesse.

Talentami i gołym pośladkiem błyska rotnistrz-cyrkowiec Sławomir Krzywiński, raz w oficerkach — raz na bosaka, raz z bufonadą — raz z błazenadą.

Jest parę sytuacji samych w sobie komicznych. Na przykład gdy po przesłuchaniu udającym się, gniołają się i walcują grubas Ubu z chudzielcem rotnistrzem. Albo gdy królowa Rozamunda przeprowadza przez Wisłę z dziećmi na ręku. Dziecię dzwigane przez Krystynę Michel (skąd tyle siły w szczupłej aktorce?), to Wiesław Motek, a Wisła jest kawałem niebieskiej podszywki, poruszany przez Konia Finansowego.

W Konia wciela się Krystyna Szostak ubrana w zgrabny fraczek. Nienajgorzej improwizacje muzyczne na saksofonie wykonuje Mirosław Józefowicz.

Osobny akapit dla postaci tytułowej i jego małżonki. Można by długo rozważać te dwie, świetne kreacje. Powiem krótko: Maciej Ferlak jako Ubu wraz z Iwoną Kotzur jako Ubica, two-

może czytać Joyce'a, nie trzeba wiele tłumaczyć. Jednak... nie każdy widział i nie każdy czytał. Może więc należało w „programie” zamieścić parę słów na temat „Ubu-króla” i jego autora, nie tylko cytaty z francuskiej prasy.

Alfred Jarry był Francuzem. Żył tylko 34 lata, a zmarł 80 lat temu. Sztukę „Ubu-król” napisał będąc kilkunastoletnim chłopcem. Dziełem tym naruszył dotychczasowe konwencje teatralne i wywarł wpływ na takie kierunki w sztuce, jak dadaizm, surrealizm, teatr parodii, teatr absurdu.

W foyer na ścianie wiszą fotografie aktualnego zespołu aktorskiego. A może, wzorem innych teatrów, wieszac również klisze z najlepszymi postaciami scenicznymi?

Bardzo dobre przedstawienie. Warto pochwalić się nim w innych środowiskach.

HALINA ANSKA

Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze
Scena Mała
Alfred Jarry „UBU KRÓL”
Przekład Tadeusz Boy-Zeleński
Reżyseria Wiesław Górski
Scenografia Ewa i Wiesław Strebekowie
Wykonawcy:
Maciej Ferlak — Ubu,
Iwona Kotzur — Ubica

oraz:
Sławomir Krzywiński (rotnistrz Bardior), Michał Świątała (Król Waclaw, Jan Sobieski, Stanisław Leszczyński), Krystyna Michel (królowa Rozamunda), Jerzy Balbuza (królowiec Władysław, palotyn Kotys), Wiesław Motek (królowiec Byczysław), Zdzisław Grudziński (królowiec Bolesław, generał Lacy, kapitan okrętu, palotyn Płaz), Leszek Polesa (car Aleksy, Michał Fiodorowicz), Roman Garbowski (palotyn Zyrom), Krystyna Szostak (Kon finansowy), Henryk Tomczyk (Mikołaj Reński).

Ponadto:

spiskowcy, szlachta, lud, urzędnicy, chłopci, pachołki finansowe, rajcy, straż, cienie przedków oraz żołnierze
Premiera 15 listopada 1987 r.

VIDEO klub

Tematem prezentowanych dziś filmów będzie morze, jego głębie, kryjące tajemnice lub śmierć.

Film „The Deep” („Głębia”), reżyserowany przez Petera Yatesa, powstał w oparciu o powieść Petera Benchleya. Jest to dość typowy obraz sensacyjny, ze szczyptą horroru. Młoda, amerykańska para spędza urlop na Bermudach. Wyspa jest przepiękna, zalana słońcem, ale nieco złowroga i tajemnicza. Podczas nurkowania młodzi trafiają na wrak hiszpańskiej galery, której wnętrza kryją niezbadane skarby. Dziwnym zrządzeniem losu, na tej samej mieliźnie, ba — niemal bezpośrednio na galerze, osiadł po jednej z częstych burz, jak najbardziej współczesny kuter, wiozący m.in. wiele ampułek z morfiną. O znalezisku, narkotykach, dowiaduje się miejscowy gang, który zmusza nurków do wyłowienia łupu. Dziewczyna, w tej roli występuje uroczą Jacqueline Bisset, nastrozona przez bandziorów, chce wrócić do Nowego Jorku, więc jej chłopak (Nick Nolt, znany z telewizyjnego filmu „Pod ostrzałem”), godzi się na propozycję, by móc później spokojnie szukać w galerze. Młodzi turyści zwracają się z prośbą o pomoc i opiekę do mieszkającego na Bermudach słynnego poszukiwacza skarbów (Robert Shaw). Ten zgadza się, za cenę połowy

TAJEMNICE MÓRZ

z udziału w zyskach z hiszpańskich skarbów. Cała trójka wspólnie schodzi na dno morza i zbiera ampułki. Nagle — nurków atakuje przerażająca, ogromna murena, lecz oślepiona światłem latarki wycofuje do wnętrza wraku. Okazuje się, że obydwa skarby — morfinę i złoto — mają swego strażnika. Banda dostaje morfinę i pozostawia nurków w spokoju. Ci, po kolejnym niebezpiecznym, choć zyskowym zejściu w głębinę, postanawiają więcej nie nurkować. Wcześniej zaminują teren wraków. Zachłani bandyci sami jednak jeszcze chcą zdobyć resztę narkotyków. Rozprawia się z nimi okrutna murena.

Młodość i chęć przeżycia przygody zwyciężają, zaś złoto zostaje ukarane. „Głębia” nie jest lotnym obrazem. To typowa rozrywka, opierająca się na konstrukcji, iż nie zawsze sportowe nurkowanie jest relaksem; bywa też śmiertelną zabawą.

Drugi z filmów to „Okreś”, reżyserowany przez utalentowanego Wolfganga Petersona. Najlepszy obraz zachodniemiecki powstał w oparciu o książkę Lothara Güntera Buchheima. „Okreś” jest autobiograficzną opowieścią byłego marynarza hitlerowskiego U-Bootu. I książka, i film zadają kłam mitowi, jak stworzono wokół niemieckich okrę-

tów podwodnych — miały one bowiem w czasie obywateli wojen światowych mocno pomóc w działaniach, m.in. gospodarczo blokując Wielką Brytanię oraz izolując Amerykę Północną. Ale „ci wspaniali mężczyźni na swoich okrętach” nie spełnili pokładanych nadziei. Stali się bowiem więźniami i okrętów, pływających trumien, i uczucia klaustrofobii. Najbardziej przejmujące są kameralne sceny, kiedy ludzka psychika obnaża się do granic wytrzymałości. Ale film dostarcza również wspaniałych emocji i widowiska. U-96 wyrusza z francuskiego portu na Morze Śródziemne i narażony jest na wiele mroźnych krew w żylach niebezpieczeństw. Stąd wiele scen batalistycznych, wspaniałych, efektownych, i fotografowanych specjalną techniką obraz opadającą na dno cieśniny Gibraltarskiej okrutu podwodnego.

Wydało się, że dzieło Petersona ma większą dramatyzm zdarzeń, aniżeli książka. Poprzez swą widowiskowość jest przede wszystkim atrakcyjniejsza. A poprzez wspaniałą grę Jürgena Prochnowa — prawdziwszą. Reżyser doskonale dozuje widze ludzkiego piękła, a poczucie zagrożenia załogi U-Bootu zdzierza z piekłem morza, jego otwartych głębi.

FAN (MM)

„The Deep” („Głębia”). Reżyseria P. Yates. Muzyka J. Barry. Ch. Challs. W rolach głównych J. Bisset, N. Nolt, R. Shaw.

„Das Boot” („Okreś”). Reżyseria W. Peterson. Zdjęcia J. Vacano. W roli głównej J. Prochnow.

Współpraca przygraniczna

Podczas spotkania sekretariatów komitetów — Okręgowego NSPJ we Frankfurcie nad Odrą i Wojewódzkiego PZPR w Gorzowie omówiono przebieg i rezultaty dotychczasowej współpracy między regionami frankfurckim i gorzowskim. Współpraca ta objęła niemal wszystkie organizacje społeczne, wiele zakładów pracy, szkół, klubów sportowych. Zachęcające do kontynuowania rezultatów osiągniętych w zakresie wymiany towarowej, kontaktów w dziedzinie kultury, oświaty, ochrony zdrowia, sportu i wypoczynku letniego młodzieży. W czasie spotkania podpisano umowę o współpracy na lata 1988-89.

Szkola w Dąbrowie

Z inicjatywy mieszkańców wsi Dąbrowka Wielkopolska zawiązała się Społeczny Komitet Budowy Szkoły, któremu przewodniczy Tomasz Spychała. Do tymczasowa szkoła w Dąbrowie zbudowana przed wojną jest za ciasna. Nowa szkoła ma mieć 9 izb lekcyjnych, 2 gabinety metodyczne, salę gimnastyczną i 2 mieszkania dla nauczycieli. Jej kosztorys opiewa na 176 mln zł (ceny z roku 1986). Do końca ubiegłego roku generalny wykonawca — Komunalne Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych z Wolsztyna — wykonało fundamenty szkoły. Na placu budowy zgromadzone podstawowe materiały, których wartość wraz z już wykonanymi robotami szacuje się na 30 mln zł. Mieszkańcy Dąbrowki zgromadzili 1,5 mln zł własnych pieniędzy oraz wykonali prace wartości 4,5 mln zł. Do końca bieżącego roku powinien być ukończony tzw. stan surowy, w przyszłym roku przeprowadzi się roboty wykończeniowe. W 1989 roku przy pada 60-lecie polskiego szkolnictwa w Dąbrowie Wielkopolskiej. Dąbrowczanie uważają, że z tej okazji szkoła — Pomnik Rodła powinna zostać oddana do użytku.

Giełda programowa

Od trzech lat Wojewódzki Dom Kultury w Zielonej Górze organizuje konkurs na scenariusz imprezy kulturalnej. Pod koniec ostatniej giełdy programowej jury oceniło tylko 17 scenariuszy, choć do udziału w konkursie WDK zaprosił wszystkich instruktorów z domów i klubów kultury w Zielonogórskim. Jury nie przyznało pierwszego nagrody. Dwie drugie otrzymali: Lech Krychowski z Lub ska za scenariusz „W głębinach oceanu” i Janusz Beger z Żar za scenariusz „Wagary”. Nagrodę publicystyczną otrzymał również L. Krychowski.

Konkurs Bachowski

W XIV Konkursie Bachowskim, organizowanym także przez osoby prywatne, wzięło udział 38 młodych muzyków. Wśród uczniów starszych klas średnich szkół muzycznych najlepszymi okazali się: Agnieszka Gąsior, Ewa Łuczak, Piotr Marcinowicz i Alicja Kwiatkowska, wszyscy z Zielonej Góry. W grupie uczniów młodszych klas średnich szkół muzycznych: Elżbieta Zolotariew z Wrocławia, Waldemar Goliński z Głogowa, Małgorzata Zarzycka ze Szczecina i Witold Furmankiewicz z Zielonej Góry. W grupie uczniów szkół muzycznych I stopnia jury nagrodziło: Dobro sławę Śludmak, Pawła Zatorskiego, Barbę Piotrowską, Dawida Kwiatkowskiego i Macieja Ziemińskiego — z Zielonej Góry. Program konkursu obejmował je dną część sonaty lub partytę na skrzypce albo woloncelę solo Jana S. Bacha oraz jeden utwór dowolny.

Więcej radia

Od stycznia br. radio zielonogórskie zwiększyło czas nadawania swoich audycji. „Radiopranek”, dłuższy o godzinę, trwa od 5.00 do 8.00. Między godz. 13.05 a godz. 13.20 radio nadaje repotaże. Aktualne wiadomości, audycje i publicystykę rozgłoszenia zielonogórską emituje codziennie w godzinach 16.00-17.15. W niedziele nasze radio rozpoczyna nadawanie swego programu o 8.00 i kończy o 11.00. Audycja „W sportowym rytmie” przekazywana jest między 21.05 a 21.20. Radio zielonogórskie należy słuchać włącznie na falach ultrakrótkich w paśmie 69,14 MHz.

Nowości wydawnicze LTK

Pod koniec ubiegłego roku nakładem Lubuskiego Towarzystwa Kultury uka-

2 nadodrze

zało się kilka książek. Włodzisław Kwaśniewicz jest autorem pracy „Okiem ko lekcjonera, czyli o dawnej broni gawędy”, która wyszła w nakładzie 3000 egzemplarzy i kosztuje 350 zł. W. Kwaśniewicz, znakomity bronioznawca, opowiada o historii m.in. łuku, koncerza, buławy, szabli Napoleona. Prócz tekstu w książce znajdują się ilustracje rysunkowe i fotograficzne.

„Archiwa mówią. Dawne Pogranicze w dokumentach archiwalnych” — to tytuł pracy Marcelo Brychego, wydanej w bardzo estetycznej szacie graficznej. Książka kosztuje 150 zł i zawiera wiele rzadkich dokumentów z przeszłości Ziemi Lubuskiej.

Galeria w Kożuchowie

W jednej z większych sal Kożuchowskiego Ośrodka Kultury, który mieści się w odremontowanym zamku, utworzono salon wystaw artystycznych. Na inaugurację działalności tej instytucji przygotowano wystawę malarstwa Małgorzaty Wolszczan-Kuźniarowej, artystki przez wiele lat związanej z Nową Solą i Kożuchowem. Gospodarze zamku zamierzają kupować obrazy współczesne i gromadzić je w powstałej galerii.

Z żałobnej karty

2 stycznia br. zmarł Franciszek Kurko wiak — działacz społeczny i organizator życia kulturalnego na Ziemi Lubuskiej, były wieloletni kierownik Wydziału Kultury Prezydium WRN w Zielonej Górze.

W Drezdenku zmarł Wojciech Kleszka — działacz Związku Polaków w Niemczech, członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Dąbrowie Wielkopolskiej, ostatnio konserwator i przewodnik w Muzeum Puszczy Drawskiej i Noteckiej.

W teatrach Nadodrza

Gorzów: „Ciężkie czasy”, „Zabieczy ry”; Zielona Góra — scena dramatyczna: „Pokołowski”, „Ubu Król”, czyli „Polacy”, „Laweczka”, scena laikowa: „Pozarcie królowej Bluetki”, „Szewczyk Dratewka”; Legnica: „Hamlet”, „Kopciuszka”.

Zaprosili nas

Komitet Wojewódzki PZPR w Zielonej Górze na obrady Zespołu Kultury Komisji Ideologicznej KW; Rada Naukowa Wydziału Nauk Społecznych Lubuskiego Towarzystwa Naukowego na posiedzenie naukowe; Wojewódzki Dom Kultury w Zielonej Górze na inaugurację cyfrowe spotkanie Społecznej Rady Programowej WDK; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystaw — grafiki Janusza Skiby oraz grafiki, malarstwa i tkaniny Agaty Buchalik-Drzygzi; Lubuskie Towarzystwo Fotograficzne na otwarcie dorocznej wystawy fotograficznej (czytaj omówienie na str. 8)

LISTY

„Taki pejzaż”

Szanowna Pani Redaktor!

Po raz nie wiem który, wracam do artykułu Haliny Anskiej w „Nadodrzu” nr 22 z listopada 1987 r. pt. „Taki pejzaż”. Wyrażono w nim także mój niepokój. Nie musiało stać się u nas aż tak źle, aż tak brudno i ohydnie! A do tego jeszcze to ogólne udawanie, że rzeczywistość jest inna, aniżeli jest!

Nie odwróćmy pyłowi i wyziewów ze Schwarzwaldy. Ale jajka przed obróbką można umyć! Pielęgniarka z ośrodka zdrowia nie musi wybiegać do sklepu w rozwinanym, białym fartuchu, w którym za chwilę będzie robiła zastrzyk lub opatrunek! Czy zdarza się, by lekarz wizytujący chorego w domu umył ręce przed badaniem pacjenta, zażyciem mu do gardła itp.?

Na hasło „posesja” ogarnia mnie pu sty śmiech. Nie będę się na ten temat rozwodzić, bo nie warto. Ma Pani rację, że nie wiąże zbyt wielkich nadziei z tą akcją. Ja wiąże raczej strasy, bo przecież kosztuje benzyna przeznaczona na dojazd komisji, no i czas. Ale czasu u nas nikt nie szanuje. Stać nas na rzeczy wielkie (przynajmniej w mowie, by nie powiedzieć — w gadulstwie). Ale już te mniejsze, jak np. opróżnianie i dezynfekcja szamb, wyznaczenie placu pod śmietnikowo, także mycie rąk, zębów

oraz wietrzenie mieszkań i innych pomieszczeń, wszystko to jakoś nam nie wychodzi. Konia z rzędem temu, kto otwiera na wsi okno w celu wietrzenia mieszkania! Zimą nie, bo zimno. Latem nie, bo muchy lecą.

A wszawica? Słowo to rzadko gości w prasie, radiu i telewizji. Mówi się o tym niechętnie i ukradkiem, bo wstyd. A nie wstyd, że oświata sanitarna to w ogóle jedna, wielka abstrakcja? O wszawicy milczą programy szkolne, nie słyszy się o niej w szpitalach.

Na ekranie TV często gości reklama, zawierająca pouczenie, że przed stosunkiem trzeba się uperfumować. Ale że się trzeba umyć, to już nie.

A swoją drogą jestem ciekawa, jaki odzew wywołał „Taki pejzaż”. Łączę serdeczne pozdrowienia.

MARIA NONCKIEWICZ
Młynkowo nr 7

Nowości Wydawnictwa Poznańskiego

☆ Michał Choromański: Szpital czerwonego krzyża. Wyd. II, nakład 30 tys. egz. Str. 320. Cena 400 zł.

☆ Kurt David: Rosamunda nie Szubertowska. Przekład z niemieckiego: Wanda Piwowarczyk. Wyd. I, nakład 10 tys. egz. Str. 163. Cena 150 zł.

☆ Istvan Lagzi: Droga żołnierza polskiego przez węgierską granicę w

latach 1939—1941. Wyd. I, nakład 4 tys. egz. Str. 329. Cena 350 zł.

☆ Czesław Łuczak: Położenie ludności polskiej w kraju Warty 1939—1945. Dokumenty niemieckie. Wyd. I, nakład 2,5 tys. egz. Str. 346. Cena 380 zł.

☆ Jerzy Mańkowski: Anna w moim życiu. Wyd. V, nakład 20 tys. egz. Str. 174. Cena 230 zł.

☆ Dea Tier Morch: Zimowe dzieci. Przekład z duńskiego: Maria Bera. Wyd. I, nakład 30 tys. egz. Str. 253. Cena 300 zł.

☆ Jerzy Pertek: Od Dunkierki do Dąkaru. Z cyklu publikacji o II wojnie światowej na morzach. Wyd. II, nakład 60 tys. egz. Str. 203. Ilustracje, mapy w tekście. Cena 210 zł.

☆ Jacek Sawaszkiewicz: Stan zagrożenia. Seria „SF”. Wyd. I, nakład 40.250 egz. Str. 357. Cena 300 zł.

☆ Maxie Wander: Dzienniki i listy. Przekład z niemieckiego: Maria Skalska. Wyd. I, nakład 10 tys. egz. Str. 235. Cena 240 zł.

☆ Janina Weneda: Słowiana. Powieść legendy. Ilustracje: Ryszard Kaja. Wyd. I, nakład 10 tys. egz. Str. 214. Cena 280 zł.

☆ Żelazny diabeł oraz inne podania i baśnie lubuskie. Ilustracje: Jan Marcin Szancer. Wybór z tomu „Złota dzida Bolesława” pod redakcją Janusza Koniusza, wyd. 1970 r. Wyd. I, nakład 100 tys. egz. Str. 48. Cena 90 zł.

☆ Krzysztof Lis: Szalenie dyskretna sprawa. Opowiadania. Wyd. I, nakład 10 tys. egz. Str. 183. Cena 150 zł.

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-358 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 48. Telefon, redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (dla telefonów wewnętrznych) 46-61. Redaguje zespół: Halina Anska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Janusz Koniusz (red. naczelny), Zdzisław Łukaszewicz (z-ca red. naczelny), Wiesław

Nodzyński (sekretarz red.), Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterowicz. Sekretariat redakcji: Elżbieta Walenska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor Związków Piętkiewicz tel. 717-95. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i fotosy) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Z-20

okoliczności

Test integracyjny

nadodrze

ROzrywki umysłowe

Są doniesienia. Dryfowaliśmy po euro pejskim morzu jako samotny biały żagiel. Pojawili się na horyzoncie nowe żagle. Utrata samotności wiąże się z faktem czesiosłowackim i węgierskim. W krajach tych zaczyna brakować papieru toaletowego.

Wiesz o braku takowego w krajach sojuszniczych przyjmujemy z tym rodzajem radości, z jakim samotny lokator kotła z roztopioną smolą przyjmuje nieoczekiwanych gości. Ta radość obok przyczyn uczuciowych posiada motywację racjonalną. Oto na naszych oczach powstaje szansa posupiania więzi z bratem i bratem, poszarpanych w chrześcijańskiej historii. Brak papieru toaletowego na Węgrzech i w Czechosłowacji buduje w nas przyjaźń i sympatie.

Chcesz bliźniemu sprawić przyjemność, opowiedz mu o swoich najnowszych kłopotach.

Brak papieru toaletowego na Węgrzech i w Czechosłowacji być może chwilowy i epizodyczny, ale być może również stały konstans w ich życiu gospodarczym, moim zdaniem posiada pozytywne aspekty polityczne, daje szansę, jakich dawno nie mieliśmy. Po

grażeni po szyć w kotle z roztopioną smolą, powiedzieć możemy gościom albo i współlokatorom, że my Polacy, jako weterani walki o papier higieniczny, możemy im służyć swoim doświadczeniem. — Zasadniczego sukcesu w walce o papier higieniczny nie osiągnęliśmy. — Tak możemy im powiedzieć — Przez lat prawie czterdzieści papieru brakowało, brakuje i brakować będzie. Jednak na naszej pionierskiej, ciemnej drodze wynaleźliśmy różne substytuty. Przestaliśmy w miejscach intymnych nierozumnie niszczyć cenny surowiec, którym jest makulatura. Każdą przeczytaną gazetę odnosimy do punktu skupu surowców wtórnych. W zamian za dostarczone gazety otrzymujemy karteczki w mniejszych formatach, wygodniejsze w użyciu. Być może parytet wymiany makulatury na makulaturę w kwantyfikowanych obiektach sprawiedliwy nie jest. Rzecz jest blaha, bowiem Polak z Polakiem zawsze się dogada. Mają równe żółdki.

Co jednak czynić, gdy brak nam makulatury? Co robić, gdy w naszej okolicy nie ma punktu skupu? Jak dzia-

łać, gdy punkt jest nieczynny z powodu odwiedzin personelu w banku, izbie wytrzeźwień, u lekarza? Wtedy na wyzwanie przymusu fizjologicznego mamy godną odpowiedź. Na cele higieniczne przeznaczamy niewykorzystane bilety na koncerty i przedstawienia ufundowane nam przez związki zawodowe lub dyrekcje zakładów pracy. Artysta, lub cały zespół występujący przed pustą salą, w której wszystkie miejsca zostały wykupione, być może są rozgoryczeni, ale skutki chwilowej frustracji łagodzone są przez świadomość, że dzięki nim, wielu obywateli może się cieszyć czystsza bielizną.

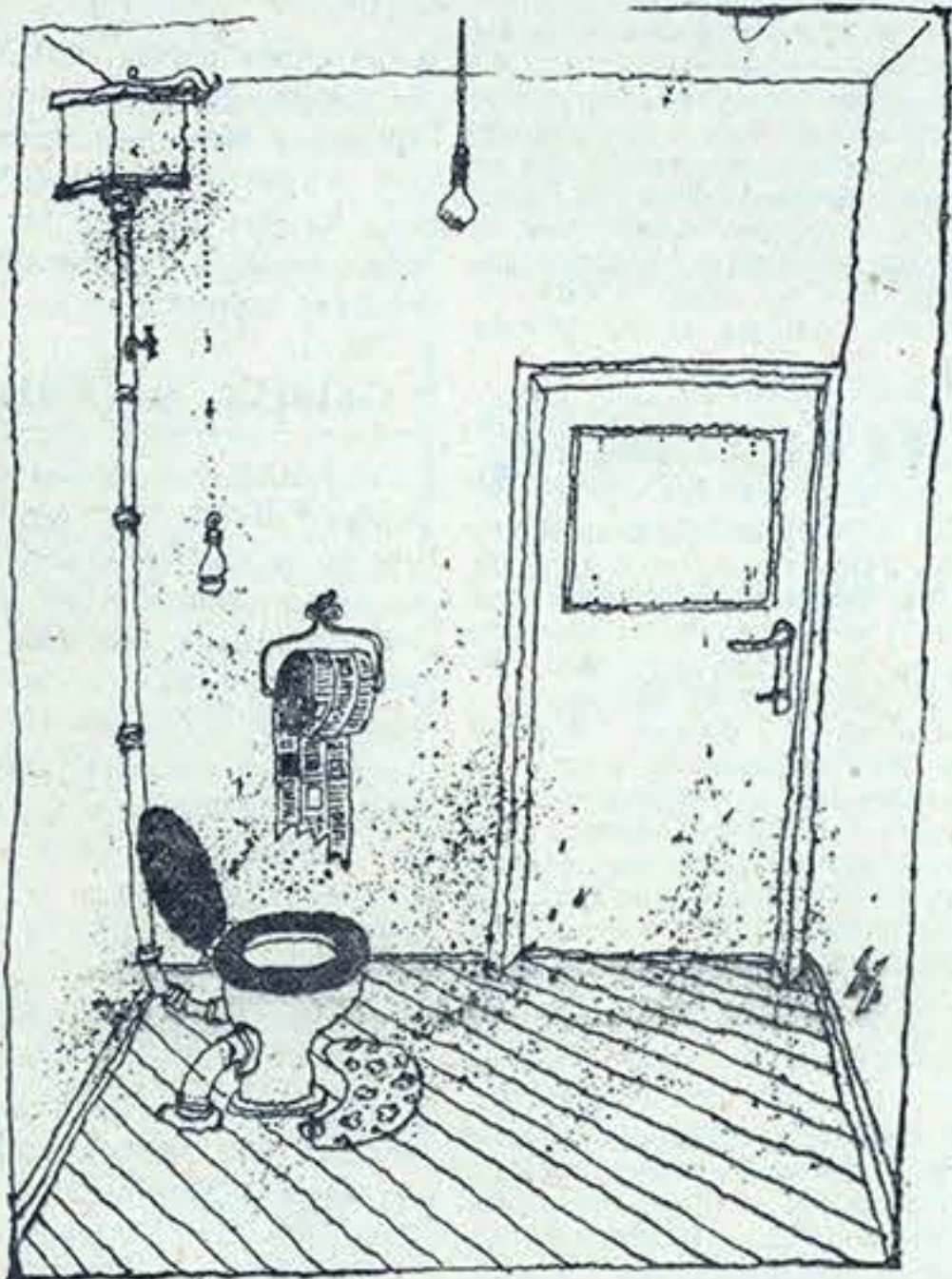
Wieloletnią naszą zaprawą w walce o zdobycie rolki papieru, której cena nie jest powstrzymywana przez Rząd odkrywa przed nami szansę wyładowania energii społecznej, siły przebiecia, możliwości talentu. Walka ta w dobie inflacji wszelkich wartości podnosi walor po myślowości. Weźmy taką złotówkę. Metalowy krążek, z którego jest zrobiona, pozwala nam stać się właścicielem jednej nalepki na zeszyt szkolny. Pomysł potaniania produkcji nalepek na zeszyty szkolne wisi w powietrzu. Upraszcza ją technologię produkcji nalepek przez rezygnację z operacji smarowania deficytowym klejem, czyniąc zbędne przepuszczenia nalepek przez maszynę drukarską, podnosimy siłę nabywczą złotych ki pomagając tym sposobem ministrowi finansów...

Brak papieru higienicznego, chwala Bogu już nie tylko u nas, otwiera przed uczonymi, członkami akademii nauk trzech co najmniej krajów nowe pole badawcze. Gruntowne rozwiązanie problemu, dotychczasowa droga jaką kroczone, przyniosła skutki połowiczne, o charakterze paliatywnym; polega chyba w tej części Europy na wyprodukowaniu papieru toaletowego o powielalnym, wielokrotnym użytkowaniu.

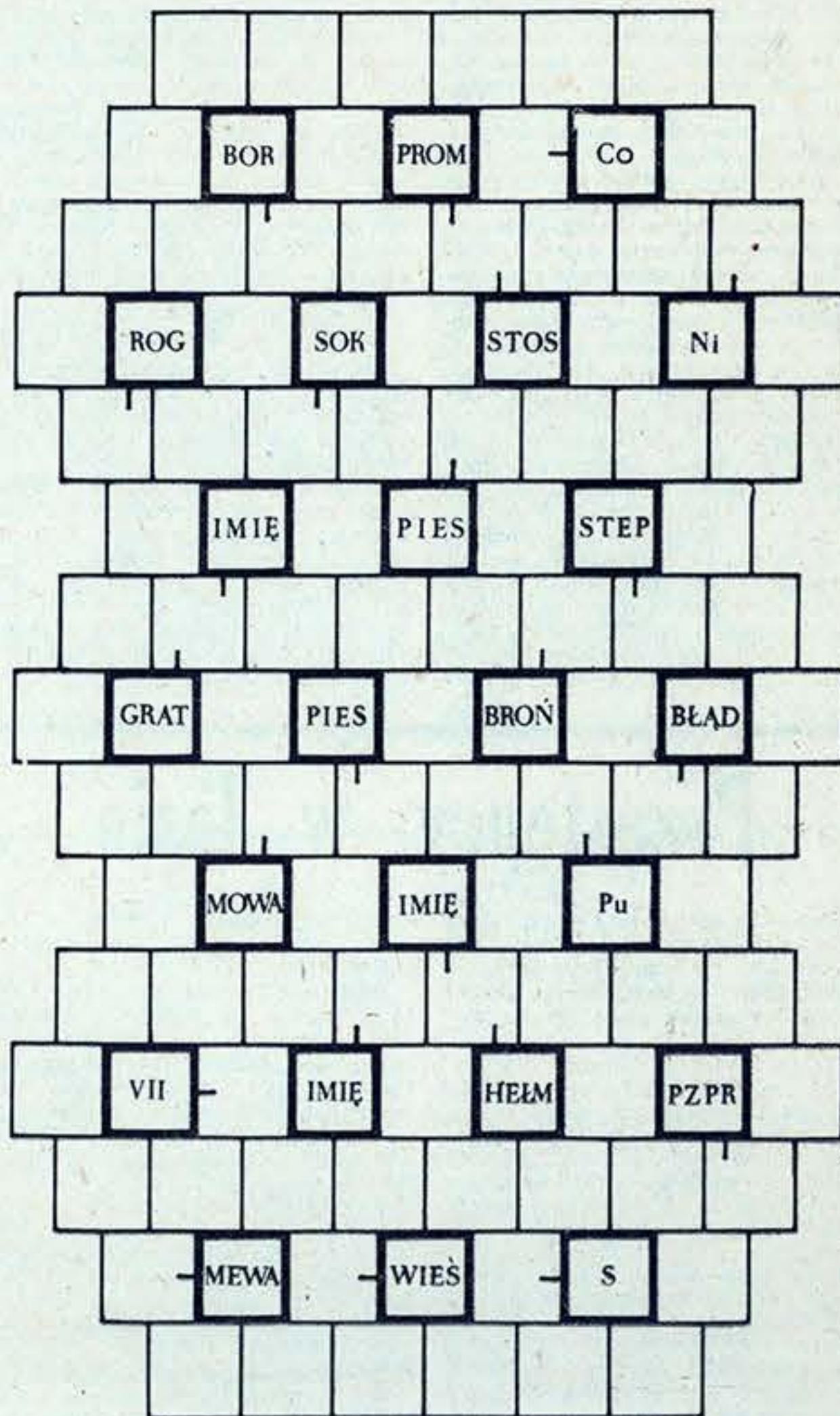
Projekt gustownego etui dopasowane go do pojemności damskiej torebki, oraz projekt zgrabnego opakowania oznaczonego trójkątkiem, co pasuje do górnej kieszonki męskiej marynarki, zo stał wysłany przez pewnego inżyniera do Urzędu Patentowego. Spółdzielnia chce zagospodarować swoje moce produkcyjne. Firma polonijna wyraża gotowość pójścia naprzeciw zainteresowaniom rynku. Czego nam brak, to właśnie zawartości, czyli papieru toaletowego trwałego użytku. Połączenie możliwości inwencyjnych talentów kilku krajów pozwala sądzić, że i ta przeszkoda zostanie wzięta.

RYSZARD ROWIŃSKI

PS. Przed jedną z zielonogórskich aptek stanęła wielka kolejka. Domniema nie, że sprzedają tam rolki, okazało się niestety. Dowiedzieli wate i lignine. (RR)



Z Zielonogórskiego Konkursu na Rysunek Satyryczny pt. „PRASA”
Rys. ZBIGNIEW ZIOMECKI



WIROWKA PANORAMICZNA
Oprac. Wiesław Pyżewicz

Kierunek wpisywania 6-literowych wyrazów prawoskrętny.

Za bezbłędne rozwiązanie zadania rozdajemy nagrodę książkową wartości ok. 1000 zł. Rozwiązania z naklejonym na kopercie, zamieszczonym obok kuponem, prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru.

Rozwiązanie krzyżówki panoramicznej z nr 15:

Poziomo: komentator, polarnik, telemetria, mim, atu, Rak, Bodnar, Tati, Ra, potrawa, ar, raz, kara, Roksana, kanwa, bak, odwaga, atak, arak, ambaje, Pionowo: Belem, kant, rokita, operator, mol, Namibia, tremo, Tirana, Aurora, katarakta, draka, trzon, ara, Angara, kwoka, sad, Kaa, sake, wab, gaj.

Nagrodę książkową wylosował ZENON RYGIELSKI, ul. Kuczwaly 40/3 85-140 Chełmża woj. Toruń. Gratulujemy.



MaRGINAŁKI

NA ZIMNO. W „Gazecie Lubuskiej” znany zielonogórski literat Zbigniew Ryndak na gorąco pisuje seryjne felietony. Ostatnio w jednym z nich przeczytaliśmy: „Narodziny noworodka z dwiema głowami w Iranie uważam za tajemniczy znak”. Jak można się domyślić, reszta noworodka pozostała w Iraku.

WPROST Z ANTENY. Jakub Michałski w stałym felietonie „Radio gra” („Życie Literackie” nr 1) pisze m.in.: „Ciekawe, że radio nie potrafi od dobrych paru lat zdyskontować sukcesu swoich ludzi, oddając walokwerem to, co leży w zasięgu wyciągniętej ręki. Te lewizja, teatr, film opanowały tę sztukę do perfekcji, a radio — nie wiem czy się boi czy toczy nim wewnętrzna zazdrość — własnych ludzi najchętniej ukryłoby w głębokich piwnicach i wielkich sejfach, żeby wszelki ślad po nich zaginął”. Owszem, konstatacja jest słuszna, ale nie dotyczy zielonogórskiej Rozgłośni PR w Zielonej Górze. Na jej antenie bez trudu można spotkać znakomite reportaże Ireny Linkiewicz, też także — oniryczne felietony Czesława Markiewicza. Brak tylko sejfów...

WYGNANI Z RAJU? Nakładem Wydawnictwa Archidiecezji Warszawskiej ukazała się antologia młodej poezji religijnej pt. „Spalony raj” w opracowaniu ks. Jana Sochonia. Odnaleźliśmy w niej utwór Czesława Markiewicza „Modlitwa oszukanych” oraz dwa wiersze Waldemara Mystkowskiego. W indeksie „Autorów pominiętych” figurują nazwiska Czesława Sobkowiaka i Mieczyława Warszawskiego oraz byłego zielonogórzanina — Eugeniusza Kurzawy. Autorzy pomieszczonych tekstów podobno wyrazili zdumienie, iż zostali uznani za twórców „młodej poezji religijnej”. Pokora to zbytnia, czy perwersyjna przebiegłość?

POZNAN POETYCKI. W pierwszym tegorocznym numerze „Życia Literackiego” Bolesław Lubosz składa relację z X poznańskiego Listopada Poetyckiego. W tekście zatytułowanym „Filtrowanie poezji” pisze m.in.: „Zdzisław Morawski z ostentacyjną ośchłością sugerował, że niedostatki współczesnej po-

ezy wynikają z tego, iż rozminęła się ona z indywidualizmem człowieka. Jednostka stała się masą. Przywrócić czołowi wiekowi indywidualność, a odnajdzie on drogę do poezji”. Nieliczni, którzy znają ciekawe założenia poetyckie Zdzisława Morawskiego, mogą słusznie dojść do wniosku, iż poeta Lubosz nie, a nie z nich nie zrozumiał.

TU SIĘ LATWO RZĄDZI ALE CIĘŻKO ŻYJE. Pod takim tytułem („Życie Literackie” nr 1) kryje się rozmowa Dariusza Tomasa Lebidy z Janem Górec — Rosińskim, który tak oto powiada o swoim mieście: „Bydgoszcz jest kulturalnym arystą, biurokracją też jest zrodzona z tych, sioł i mimo ogromnego gwańsu i rozwoju miasta nie tak prędko oddychać będziemy autentycznym klimatem kultury dojrzałej i przeżywanego autonomicznie. Nasi rodzimi Dyzmowie czują się najlepiej w enklawie lokalnej, a parasol biurokratyczny zapewnia im długowieczność. Arogancja daje wciąż o sobie znać w różnej skali i postaci, a odnowa przypomina czasami przyptię starego, tyle że oprawiona jest w tasemcowe uchwały, deklaracje, piękne słowa...”. Jeśli taka jest prawda, to szkoda, że nie wy powiedział jej Jan Górec — Rosiński na łamach „Faktów” — tygodnika, którego jeszcze niedawno był szefem.

ILU JEST ALEKSANDRÓW KRAWCZUKÓW? Pod takim tytułem ks. Marek Starowieyski publikuje w „Przeglądzie katolickim” (nr 1) tekst, poświęcony pracom naukowym Aleksandra Krawczuka. Tekst jest częściowo krytyczny, częściowo aprobujący. Autor pisze m.in.: „A więc jest dwóch Aleksandrów Krawczuków. Jeden z nich to profesor historii starożytnej epoki cesarstwa, którą zna, rozumie, o której pisze z umiarem, spokojem. I jest drugi Aleksander Krawczuk, sprawny i błyskotliwy pisarz, powiedzmy lepiej — publicysta historyczny, dla którego historia jest okazją do lansowania swoich poglądów, dla którego błyskotliwość jest ważniejsza niż rzetelne podanie historii, który pasjonuje się zagadnieniami religijnymi, których ani nie zna, ani nie rozumie, a religii po prostu nie lubi”. Profesor Krawczuk ma prawo do własnych sądów o religii, ma też prawo do tolerancji, które zostało mu odebrane w „Przeglądzie katolickim”.

DOBRE OBYCZAJE? W 2. numerze tygodnika „Veto” anonimowy autor w informacji pt. „Tredowaty Jeremiasz” ostro polemizuje z „Gazetą Poznańską”, zarzucając jej brak „dobrych obyczajów

dziennikarskich”. Choć w pierwszym akapicie Jeremiasz występuje jako Rejemiasz, to pół biedy. Ale gdy autor dalej pisze m.in. „Przez dziesięciolecie domorośli krytycy (jak choćby KTT, który w telewizji napadł na Marię Rodziewiczówną, uwielbianą przez całe pokolenia Polaków!) znęcali się nad „Tredowatą”, zaś czytelnicy uwielbiali tę powieść, tłumnie walcili na filmy itd.” — to ostatni na głowie włos się jeży bo tyle aż tego uwielbiania, a epitet dotyczący KTT jest istną perełką dobrych obyczajów. Obyczajów redakcji „Veto”. **NAJLEPSI W PHS.** Jak informuje „Veto”, oddział wojewódzkie Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego przyznały nagrody najlepszym handlowcom, uczestnikom Konkursu im. Rzeckiego w ub. roku. Miło nam donieść, że w Gorzowskim nagrody otrzymali: Halina Kalitka z Kostrzyna, Barbara Wojciechzonek, również z Kostrzyna oraz Jerzy Kozakiewicz z Gorzowa. W woj. zielonogórskim laureatami zostali: Wanda Tomczek z Lubka oraz Helena Pinio i Anna Walentynowicz ze Świebodzina. Gratulujemy i życzymy więcej towarów! **LOS NASTOLATKÓW.** W klasach ósmych szkół podstawowych tygodniowo powinno się odbyć, zgodnie z programem, 12 lekcji historii. Jak wynika z relacji Sławomira Sikorskiego „Głosem przez program” („Tygodnik Kulturalny” nr 3), w pewnej podwarszawskiej szkole nauczycielka Marianna S. zdołała przeprowadzić ich zaledwie 7, bo: obchodzono przez dwa dni Dzień Edukacji Narodowej, dwukrotnie młodzież zbierała ziemniaki, raz uczniowie spotkali się ze znanym sportowcem, potem była uroczysta inauguracja szkolnego roku sportowego, raz pani od historii zachorowała, a kiedy indziej kilku chłopców zwolnił dyrektor na między szkolny turniej piłki nożnej o puchar nauczelnika. Praktycznie tylko na 4 godzinach lekcyjnych mogła się spotkać nauczycielka „Przy sprzyjającym, oczywiście dla uczniów i pechowym dla nauczyciela układzie szkolnego grafiku przedsięwzięć, spotkała i uroczystości, Mariannę S. i jej klasę czekają jeszcze w najbliższej przyszłości: czyn społeczny, koncert filharmonii, złożenie kwiatów na grobie patrona szkoły. Młodzież liczy także na chorobę swojej pani lub jej małych dzieci. Najfajniej zaś — twierdzą ósmoklasiści — byłoby, gdyby pani od historii — tak jak nauczycielka języka polskiego — zaszła w ciążę. Wówczas hulałaby dusza — brak historii w szkole!”. I to są te szczere marzenia ósmoklasiistów.

HENRYK ANKIEWICZ
— dziennikarz „Gazety Lubuskiej”



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA